



Sojuz ruszylimyj

Związek Sowiecki
30 lat po upadku

Redakcja

Zbigniew Rokita
Tomasz Stępniewski



Sojuz
ruszymyj

Zwiazek Sowiecki
30 lat po upadku

W serii Europa Środkowa ukazały się:

Europa Środkowa. Rozmowy o (nie)pamięci,
red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2020

Wyszehrad porwany. Rozmowy o Europie Środka,
red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Oblicza Europy Środkowej,
red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Sojuz ruszonymj

Związek Sowiecki
30 lat po upadku

Redakcja

Zbigniew Rokita
Tomasz Stępniewski

Instytut
Europy Środkowej 

Lublin 2021

Spis treści

- 4
- 6 | Tomasz Stępniewski, Zbigniew Rokita
Państwa powstałe po upadku Związku Sowieckiego 30 lat później: wstęp
- 10 | **Konserwatywne marynarki**
| Z Ilją Szumanowem, dyrektorem Transparency International Russia i badaczem rosyjskich praktyk korupcyjnych, rozmawia Olena Babakova
- 20 | **Nasze zielone balkony**
| Z Julią Mostową, redaktorką naczelną ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnja”, rozmawia Piotr Andrusieczko
- 30 | **Zachód nie dał nam marchewki**
| Ze Swiatłaną Kalinkiną, białoruską dziennikarką i reporterką, rozmawia Zbigniew Rokita
- 38 | **Pomost, którym się nie staliśmy**
| Z Kristiansem Rozenvaldsem, łotewskim politologiem i publicystą, rozmawia Antoni Radczenko
- 46 | **Litwa nie jest poradziecka**
| Z Neriją Putinaitė, litewską filozofką i politolożką, rozmawia Dominik Wilczewski
- 54 | **Mamy ludzi i lasy**
| Z Kristiną Kallas, estońską politolożką i historyczką, rozmawia Michał Potocki

- 64 **Zachód szantażowany**
| Z Natalią Morari, mołdawską dziennikarką, rozmawia Piotr Oleksy
- 76 **Państwo wymodlone**
| Z Ketewan Khutsishvili, profesor Tbiliskiego Uniwersytetu Państwowego imienia Ivane Javakhishvili, rozmawia Stasia Budzisz
- 86 **Ziemia, o której nie da się zapomnieć**
| Z Markiem Grigorianem, ormiańskim pisarzem i dziennikarzem, rozmawia Paweł Pieniążek
- 94 **Niewielu stać na taką odwagę**
| Z Lejlą Alijewą, azerbejdżańską badaczką i opozycjonistką, rozmawia Aneta Strzemżalska
- 104 **Tak różni i tak podobni**
| Z Emilem Dżurajewem, kirgiskim politologiem, rozmawia Małgorzata Nocuń



Tomasz Stępniewski, Zbigniew Rokita

Państwa powstałe po upadku Związku Sowieckiego 30 lat później: wstęp

Oddajemy do rąk Czytelników zbiór wywiadów dotyczących państw powstałych po upadku dawnego imperium Związku Sowieckiego (zamiennie: Związku Radzieckiego). Ostatnie trzydzieści lat funkcjonowania organizmów powstałych w 1991 roku na obszarze dawnego bytu geopolitycznego ZSRR skłania do pogłębionej refleksji. Obszar poradziecki rozciąga się na dwóch kontynentach: europejskim i azjatyckim. Nie tylko jego rozległość, ale przede wszystkim olbrzymia skala problemów tu występujących zmuszają do bacznego przyjrzenia się tym procesom. Dodatkowo granice części państw członkowskich powstałych po upadku Związku Radzieckiego mają charakter sztuczny, gdyż zostały wyznaczone bez respektowania uwarunkowań historycznych, społeczno-kulturowych, etnicznych i religijnych. Konsekwencją takiego stanu rzeczy są konflikty: terytorialne, społeczne i etniczne ciągle rozgrywane na tym terytorium. Wysoka niestabilność społeczna i polityczno-ekonomiczna części państw regionu oraz aktywna polityka mocarstw światowych na tym obszarze decydują o jego problematycznym miejscu w dzisiejszych stosunkach międzynarodowych. Obszar poradziecki stanowi dziś niejako stawkę w grze geopolitycznej, w której udział bierze nie tylko Federacja Rosyjska – sukcesorka ZSRR, ale też inni silni aktorzy systemu globalnego.

Warto również zauważyć, że na początku lat 90. XX wieku obserwowaliśmy upadek trzech federacji socjalistycznych (Związku Radzieckiego, Jugosławii i Czechosłowacji), który rozpoczął proces kształtowania niepodległych państw narodowych. W przypadku krajów poradzieckich 15 wszystkich suwerennych państw, które wyłoniły się ze Związku Radzieckiego, przetrwało trzydzieści lat niepodległości, chociaż transformacja systemowa przebiegała odmiennie w każdym z nich. Po jednej stronie są państwa bałtyckie, które uzyskały członkostwo w NATO i Unii

Europejskiej oraz osiągnęły sukces gospodarczy na tle Europy Środkowej i Wschodniej. Po drugiej stronie przestrzeni postsowieckiej mamy na przykład Azerbejdżan, Gruzję, Mołdawię i Ukrainę, które walczą o odzyskanie kontroli nad secesjonistycznymi prowincjami oraz borykają się z wielkimi wyzwaniem dla ich stabilności politycznej i w zakresie bezpieczeństwa (na przykład oligarchizacją życia politycznego i gospodarczego oraz endemiczną korupcją, widocznymi zwłaszcza w przypadku Ukrainy), podczas gdy reszta państw znajduje się między autorytaryzmem a anarchią. Taki obraz dynamiki politycznej regionu jest z jednej strony pesymistyczny, z drugiej – pasjonujący z poznawczego punktu widzenia.

Wywiady zostały przeprowadzone przez znanych i cenionych dziennikarzy. Pierwszy wywiad to rozmowa Oleny Babakovej z Ilją Szumanowem, dyrektorem Transparency International Russia i badaczem rosyjskich praktyk korupcyjnych. Kolejne teksty dotyczą sąsiadów Polski z Europy Wschodniej. Z Julią Mostową, redaktorką naczelną ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnja”, rozmawia Piotr Andrusieczko. Ze Swiatłaną Kalinkiną, białoruską dziennikarką i reporterką, wywiad przeprowadza Zbigniew Rokita. Rozmówcą Natalii Morari, mołdawskiej dziennikarki, jest Piotr Oleksy. Kolejne teksty dotyczą problematyki państw bałtyckich. Z Kristiansem Rozenvaldsem, łotewskim politologiem i publicystą, rozmawia Antoni Radczenko, z Neriją Putinaitė, litewską filozofką i politolożką, Dominik Wilczewski. Z Kristiną Kallas, estońską politolożką i historyczką, wywiad przeprowadza Michał Potocki. Kolejny obszar rozważań dotyczy Kaukazu Południowego. Z Ketewan Khutsishvili, profesorką Tbiliskiego Uniwersytetu Państwowego im. Ivane Javakhishvili, dialog podejmuje Stasia Budzisz, z Markiem Grigorianem, ormiańskim pisarzem i dziennikarzem, dyskutuje Paweł Pieniążek. Z Lejlą Alijewą, azerbejdżańską badaczką i opozycjonistką, rozmawia Aneta Strzemżalska. Kończymy rozmowami o sytuacji państw Azji Centralnej. Z Emilem Dżurajewem, kirgiskim politologiem, rozmawia Małgorzata Nocuń.

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie stawia sobie za cel przybliżenie złożonych procesów zachodzących w państwach powstałych po upadku Związku Radzieckiego z perspektywy ich ostatnich lat. Rozmawiamy o trudnej transformacji systemowej, o sukcesach, porażkach i wyzwaniach, z jakimi muszą się zmierzyć nie tylko decydenci polityczni, ale przede wszystkim społeczeństwa państw Europy Wschodniej, Kaukazu, Azji Centralnej i Rosji. Objętość książki

nie pozwala na wyczerpującą czy pełnowymiarową eksplikację przedstawionych zagadnień, ale ufamy, że zaproponowane ujęcie może stanowić punkt wyjścia do dalszych badań, rozważań i studiów.

Chcemy wyrazić wdzięczność wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki: dziennikarzom, którzy przeprowadzili interesujące i wielowątkowe rozmowy, oraz bohaterom poszczególnych rozmów, gdyż ich trafne spostrzeżenia poszerzają naszą wiedzę na temat sytuacji państw powstałych na gruzach Związku Sowieckiego.

Tomasz Stępniewski, Zbigniew Rokita
Lublin – Kraków, lipiec 2021



Konserwa tywne marynarki

Z Ilją Szumanowem,
dyrektorem Transparency International Russia
i badaczem rosyjskich praktyk korupcyjnych,
rozmawia Olena Babakova

Ilja Szumanow – prawnik, bada praktyki korupcyjne wśród rosyjskich elit, od 2020 roku dyrektor generalny Transparency International Russia. Od 2013 roku współorganizuje Postintelektualne Forum imienia Franza Kafki i George'a Orwella w obwodzie kaliningradzkim.

Olena Babakova – doktor nauk humanistycznych, autorka tekstów poświęconych migracjom, relacjom polsko-ukraińskim oraz prawom kobiet w Europie Środkowo-Wschodniej. Jako publicystka współpracuje z „Krytyką Polityczną” i „Europejską Prawdą”. Stypendystka Rethink.CEE German Marshall Fund of the United States.

OLENA BABAKOVA: Film-śledztwo Aleksieja Nawalnego o pałacu Putina w Gelendżyku na YouTube obejrzało przeszło sto milionów użytkowników. Dwudziestego trzeciego stycznia ponad sto tysięcy osób w prawie dwustu rosyjskich miastach protestowało przeciw pokazanej w filmie korupcji Putina i jego otoczenia. Podczas demonstracji Rosjanie żądali także uwolnienia Nawalnego. Podobne protesty miały miejsce też cztery lata wcześniej, gdy Nawalny opublikował film *On wam nie Dimon* o fortunie byłego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa. Dlaczego ujawnianie przypadków korupcji tak bardzo mobilizuje Rosjan?

ILJA SZUMANOW: W Transparency International badamy związek między nastrojami protestacyjnymi a ujawnianiem afer korupcyjnych i muszę przyznać, że to nie temat korupcji najsukutekniej mobilizuje Rosjan do wyjścia na ulice.

I Dlaczego więc tak tłumnie protestowali?

Poruszyło ich nie to, że film o pałacu w Gelendżyku opowiada o korupcji, ale to, że został nakręcony przez Nawalnego. Aleksiej jest dziś jedynym opozycjonistą, wokół którego Rosjanie są gotowi się zjednoczyć. Jeśli jutro opublikuje on wyniki śledztwa w sprawie McDonald's, ludzie zaprotestują przeciwko McDonald's.

Badania pokazują, że tylko dziewiętnaście procent biorących udział w styczniowych protestach wyszło na ulicę z powodu oburzenia korupcją. Większość chciała walczyć o coś większego i ważniejszego – o sprawiedli-

wość. Korupcja to tylko jeden z rodzajów niesprawiedliwości we współczesnej Rosji, choć dzięki staraniom polityków takich jak Nawalny temat ten jest szeroko obecny w mediach społecznościowych.

W swoich filmach Nawalny od lat promuje tezę, że korupcja to istota reżimu Władimira Putina. Jego zdaniem Rosja wygląda dziś tak, a nie inaczej, bo Putin i jego przyjaciele ze spółdzielni „Ozero” i otoczenia mera Petersburga Anatolija Sobczaka wzbogacają się kosztem obywateli. Rosjanom Nawalny obiecuje nie tylko wolność, ale i wyższy poziom życia.

Sednem rosyjskiego systemu nie jest korupcja jako taka. W kraju istnieją nieskorumpowane instytucje państwowe. Istotą systemu, który zbudował Putin, jest państwowy kapitalizm.

Po nieudanej transformacji lat dziewięćdziesiątych państwo rozszerzyło swoje wpływy na sfery, które na Zachodzie tradycyjnie są niezależne: biznes, kulturę, prywatną telewizję czy organizacje pozarządowe. Aby zrozumieć, co wydarzyło się w ostatnich dziesięcioleciach w Rosji, należy zdawać sobie sprawę z tego upaństwowienia. To ono tworzy klimat sprzyjający korupcji. Najlepszym sposobem na walkę z nią jest zaś deregulacja danej branży i prywatyzacja. Przykłady można znaleźć nawet w bezpośrednim otoczeniu Rosji – państwach, które były dawniej częścią ZSRR: to Gruzja czy kraje bałtyckie. Deregulacja dobrze wpłynęła na ich funkcjonowanie i stan demokracji. W Rosji w latach dziewięćdziesiątych podejmowano takie próby, ale później proces ten został wstrzymany.

Gdzie należy szukać źródeł tego upaństwowienia? Wraz z reformami Michała Gorbaczowa pod koniec lat osiemdziesiątych i Borysa Jelcyna na początku lat dziewięćdziesiątych państwo było stopniowo eliminowane z życia Rosjan. Dlaczego wróciło?

W ZSRR państwo dominowało we wszystkich dziedzinach, obowiązywała także ideologia państwowa, która przenikała każdą sferę życia. Nie było sektora prywatnego, istniała za to szara strefa, która w ostatnich latach istnienia ZSRR stała się polem współpracy między przestępczością zorganizowaną a organami ścigania.

Na początku lat dziewięćdziesiątych w wyniku szeregu liberalnych i deregulacyjnych reform rola państwa w Rosji rzeczywiście gwałtownie spadła. Przestępczość zorganizowana wykorzystała tę okazję, by uzyskać wpływ na rodzące się prywatne firmy. Ówczesne rosyjskie życie przypomni-

nało nieco sytuację z mafią we Włoszech: jeżeli chciałeś działać w biznesie, musiałeś się układać z „bratkami” [od rosyjskiego „bratok” – członek grupy przestępczej – przyp. red.]. Jednocześnie rozwijały się media i kultura niezależna. Lata dziewięćdziesiąte były więc z jednej strony dzikie, a z drugiej pełne wolności.

Rosyjskie elity źle wspominają ten czas. Nazywają go „okresem słabości władzy”. Po „szalonych dziewięćdziesiątych” państwo przez następnych dziesięć-piętnaście lat próbowało odzyskać utraconą kontrolę. Pojawiły się instytucje przemocy i represji. W efekcie dziś w Rosji praktycznie nie ma zorganizowanej przestępczości działającej wbrew interesom władzy, a jej kompetencje przejął *de facto* rosyjski rząd. Kreml wykorzystuje grupy przestępcze do wywierania presji na niepokornych, pomocy służbom specjalnym i osobistego wzbogacenia się.

W ZSRR w praktykach korupcyjnych uczestniczyła głównie nomenklatura. Kto ją zastąpił w nowej Rosji?

Główną rolę w budowaniu rosyjskiego kapitalizmu państwowego odegrali „niedożywieni” członkowie Komsomołu – w czasach sowieckich byli młodymi ludźmi, którzy często chcieli być częścią systemu, mieć legendarne dzinsy z Zachodu, ale z różnych powodów nie udało im się stać częścią nomenklatury. Nowa rosyjska elita nie pochodzi z zamożnych rodzin. To, czego ci ludzie nie otrzymali w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, rekompensują sobie dziś – stąd wziął się pałac w Gelendżyku. Ci ludzie otaczają się luksusem i wykazują specyficzny mieszczański gust.

Korupcja w Rosji lat dziewięćdziesiątych była także napędzana przez szybką prywatyzację. Znaczna część majątku późniejszych oligarchów została zgromadzona w wyniku ustawionych aukcji i wrogich przejęć (co nie mogło odbywać się bez przyzwolenia Borysa Jelcyna i jego otoczenia). Gdyby dziś fortuny zbijało się w podobny sposób, w Rosji wybuchłaby wojna domowa. Wtedy bardziej przypominało to rozdawanie ciepłych bułeczek.

W 1996 roku odbyły się wybory prezydenckie, w których Jelcyn pokonał komunistę Giennadija Ziuganowa. Przed nimi odbywały się ustawione aukcje mienia państwowego, mające na celu gromadzenie funduszy na kampanię Jelcyna. Czy te wydarzenia przesądziły o upadku rosyjskiej demokracji?

W 1996 roku „czerwone zagrożenie” – możliwe zwycięstwo Ziuganowa – było głównym powodem obaw rosyjskich elit politycznych i go-

spodarczych. Finansowe wsparcie kampanii Jelcyna przez oligarchów było kluczowym momentem w procesie zbliżania się wielkiego biznesu i władzy. To czysta korupcja polityczna: oligarchowie pomagali Jelcynowi utrzymać się przy władzy, a on pomagał im bogacić się za sprawą prywatyzacji.

**Haracz w bitcoinach
– oto rzeczywistość wczesnych
lat dwudziestych XXI wieku.
A rosyjski rząd, nawet jeśli
chciałby taką korupcję
ograniczyć, nie wie,
jak z nią walczyć.**

W 1996 roku kluczowe aktywa państwowe zostały sprzedane na aukcjach organizowanych przez Ministerstwo Finansów. Z reguły były to przedsiębiorstwa wydobywcze i petrochemiczne. Biznesy trafiały do oligarchów, którzy wykupywali je za państwowe pieniądze trzymane w ich bankach po cenie znacznie niższej od wartości rynkowej.

Ze wspomnień eks-właściciela ALFA Group Piotra Awena, zmarłego w 2013 roku magnata medialnego Borisa Bieriezowskiego i zięcia Jelcyna Walentina Jumaszewa wiemy, że kupujący byli członkami wąskiego kręgu ludzi, którzy mieli powiązania z otoczeniem prezydenta – „Rodziną”.

W latach dwutysięcznych część sprywatyzowanego majątku ponownie trafiła w ręce państwa. Aby „deprywatyzacja” przebiegła bezproblemowo, odbył się pokazowy proces Michaiła Chodorkowskiego. Tym, którzy zdążyli wejść na giełdę, udało się zabezpieczyć swoje udziały i inwestycje – ale od początku rządów Putina zgoda Kremla na taki ruch była warunkiem koniecznym.

Deregulacja, która miała miejsce w latach dziewięćdziesiątych, przygotowała więc grunt pod powrót państwa w następnej dekadzie. Dziś cały wielki biznes jest pod kontrolą państwa.

| Jak powrót państwa zmienił sposób, w jaki Rosjanie postrzegają korupcję?

Ona sama się zmieniła: wcześniej była zwykłym łapówkarstwem, a w ostatniej dekadzie stara się naśladować praktyki tolerowane przez społeczeństwo.

Korupcja też się ukrywa – łapówki to już nie walizki z pieniędzmi, jak w latach dziewięćdziesiątych. O ile, na przykład, wcześniej urzędnik żądał od biznesmena-interesanta łapówki w celu załatwienia mu kontraktu rządowego, o tyle teraz firma, która otrzyma ten kontrakt, jest własnością żony czy kuzyna owego urzędnika. Haracz w bitcoinach – oto rzeczywi-

stość wczesnych lat dwudziestych XXI wieku. A rosyjski rząd, nawet jeśli chciałby taką korupcję ograniczyć, nie wie, jak z nią walczyć.

Za czasów Jelcyna najsmakowitsze kąski trafiały do właścicieli grup finansowo-przemysłowych. Kogo zaprosił do stołu Putin?

Krąg Jelcyna nie był zbyt jednorodny, wejście gwarantowały bliskie relacje z „Rodziną”. Różne grupy finansowo-przemysłowe konkurowały ze sobą, a stabilność władzy w dużej mierze zależała od tego, czy zdołają one dojść do konsensusu. Stosunki między oligarchią a władzą miały charakter partnerski, rozmowy toczyły się na równych prawach: Jelcyn mógł komuś odmówić, oligarchowie mogli prowadzić własną politykę. Swoją drogą, ten model relacji gwarantował pluralizm życia społeczno-politycznego.

Putin to zmienił.

On nie był zainteresowany partnerstwem i od samego początku zaczął dyktować warunki. Z jego punktu widzenia oligarchowie nie mogą brać udziału w życiu politycznym. Ci, którzy na starcie nie zgodzili się na warunki Putina, zapłacili wysoką cenę. Chodorkowski, który sam miał ambicje polityczne i wspierał ludzi z różnych politycznych środowisk, otrzymał wyrok dziesięciu lat w kolonii karnej.

Kreml zaproponował oligarchom nową umowę społeczną: prosperity w zamian za lojalność i zaniechanie udziału w polityce. Nawiasem mówiąc, tę formułę Putin zaproponował również rosyjskiej klasie średniej w okresie „złotych lat dwutysięcznych”. Wartość ropy rosła, kraj się bogacił, sporo Rosjan otrzymało szansę osiągnięcia poziomu, na jakim żyła europejska klasa średnia. Trzeba było „tylko” nie angażować się w politykę.

Putin zaproponował też nową ideologię: wartości tradycyjne, russkij mir, pamięć o zwycięstwie z 1945 roku.

To z jednej strony propagandowa zasłona dymna, ale z drugiej ważny element dialogu z Rosjanami, którzy podzielają konserwatywne wartości.

Na początku lat dwutysięcznych ekipa Putina musiała na nowo ułożyć sobie relacje nie tylko z oligarchami, ale i z obywatelami. W obu przypadkach nie rozmawiano jak równy z równym. Komunikowano się na zasadzie: władza wie, co dla was najlepsze, wy musicie się podporządkowywać.

Ton rosyjskiej propagandy przypomina bowiem rozmowę ojca z dziećmi. Po dziesięcioleciach życia w ZSRR Rosjanie mają słabo rozwiniętą

Wielu członków elity używa tradycyjnych wartości jak marynarki: idziesz w niej do pracy, wracasz do domu, zdejmujesz i zakładasz coś wygodniejszego. Podobnie kiedyś odbierano ideologię komunistyczną.

świadomość obywatelską i prawną, stąd dla wielu ton ten brzmi znajomo i właściwie.

Owszem, wielu członków elity używa tradycyjnych wartości jak marynarki: idziesz w niej do pracy, wracasz do domu, zdejmujesz i zakładasz coś wygodniejszego. Podobnie kiedyś odbierano ideologię komunistyczną: jako członek partii nosiłeś odznakę, płaciłeś składki i jednocześnie wieczorem w kuchni słuchałeś Radia Wolna Europa lub

po prostu ignorowałeś instrukcje KPZR. George Orwell dobrze to opisał w *Roku 1984*: kiedy pojawia się siła, której nie możesz się oprzeć, dostosujesz się.

Czy oznacza to, że mieszkaniec putinowskiej Rosji, który chciałby poprawić swój status społeczny i materialny, skazany jest na nieustanne układanie się z władzą?

Nie da się dziś wejść do rosyjskiej elity (a to w tym środowisku krążą pieniądze z budżetu, gwarantujące znaczne wzbogacenie się) bez noszenia tej marynarki. I choć w otoczeniu Putina są osoby, które mają na przykład liberalne poglądy na temat ochrony praw osób LGBT, to na pewno nigdy nie zmanifestują ich publicznie.

Cała ta propagandowa nadbudowa epoki Putina jest jednocześnie dość sztuczna: mimo masowej propagandy państwowej około czterdziestu procent Rosjan postrzega Unię Europejską jako partnera, a nie przeciwnika. Jakkolwiek, w niektórych kwestiach propaganda była w stanie narzucić punkt widzenia: część Rosjan widzi w krajach bałtyckich, Polsce czy Ukrainie wrogów.

Ale gdy tylko granice zostaną otwarte, zobaczymy, ilu Rosjan pojedzie na Zachód. Oni czują się tam dobrze, chcą tam być, postrzegają siebie jako część większej Europy.

Rosjanie czują się dobrze w Europie, ale jednocześnie są w stanie zaakceptować działania władzy, które oddalają ich od Zachodu? W lutym 2014 roku powszechnie uważano, że Putin nie zdecyduje się na okupację Krymu, gdyż ani zwykli Rosjanie, ani jego otoczenie nie skorzystają na konflikcie z UE i USA. Stosunki Moskwy z Brukselą i Waszyngtonem wciąż się jednak pogarszają.

Do 2014 roku w Rosji panował konsensus, który powstał w wyniku drugiej wojny światowej: nie anektujemy terytorium sąsiednich państw. Ta ugoda zaczęła pękać wcześniej – to operacja w Naddniestrzu w 1993 roku czy wojna w Gruzji w 2008 roku – ale nawet jeśli Moskwa uznawała podmiotowość separatystycznych quasi-republik, nie zmieniała przez to własnych granic. „Projekt Krym” był dla Putina i jego otoczenia bardzo ważny. Od początku trzeciej kadencji w 2012 roku Putin wyraźnie się martwił, jak zostanie zapamiętany na kartach historii Rosji. Rządziłeś krajem przez dwadzieścia lat, ale czym możesz się pochwalić? Nie wiadomo. Ponadto, jeśli przez piętnaście lat modernizujesz armię i służby, ale nigdzie ich nie używasz, grozi to zamachem stanu!

Pod wpływem otoczenia wymyślił więc operację „zbierania ziem ruskich”. W końcu Putina nie otaczają ekonomiści i politolodzy, tylko przedstawiciele służb specjalnych, wojska i wywiadu. Ich udział w rządzeniu krajem opiera się na umiejętnościach, które zdobywali w FSB, Służbie Wywiadu Zagranicznego i w armii.

Dla znacznej części Rosjan bardzo ważne jest również, by móc identyfikować się ze zwycięskim krajem. Nie jest dla nich najważniejsze, czy będzie to Ruś czasów Włodzimierza, czy nieistniejąca Hyperborea, czy imperialna Rosja z 1812 roku lub ZSRR z 1945 roku. Putin wykorzystał ten resentyment.

Należy też pamiętać o banalnych manipulacjach sondażowych. Szczyt akceptacji dla polityki Putina zawsze przypadła na okres przeprowadzania operacji wojskowych, czy to w Gruzji, czy w Ukrainie. Konsekwencje dla kraju były tymczasem katastrofalne – zarówno w gospodarce, jak i w polityce międzynarodowej. W pewnym sensie obecne protesty na Białorusi także są echem aneksji Krymu.

Dzisiejsza atmosfera w Rosji silnie kontrastuje z tą, którą pamiętamy ze „złotych dwutysięcznych”. Klasa średnia nie dostaje już za milczenie dywidendy w postaci petrodolarów. Dlaczego po 2014 roku w Rosji latami nie odbywały się protesty na masową skalę?

Musimy oddać hołd urzędnikom na Kremlu, którzy są odpowiedzialni za sferę społeczno-gospodarczą. Mimo obiektywnego pogorszenia się sytuacji polityka zasiłków i wsparcia poszczególnych grup sprawia, że dobrobyt nie spada gwałtownie, ale maleje stopniowo. Zapobiega to potężnemu wybuchowi.

Zubożenie jest wyraźnie widoczne, gdy porównujesz swoje pensje z dziś i sprzed pięciu lat, a następnie obliczasz, co mogłeś i możesz za

Iskrą dla protestów może być następny film o kolejnym pałacu prezydenta. Ale raczej będzie to wyższy rachunek od spółdzielni mieszkaniowej lub list z banku o zaległej pożyczce.

nie kupić. Tylko ograniczona liczba obywateli rozumuje jednak w ten sposób. Obecne problemy rosyjskiej gospodarki szczególnie niepokoją klasę średnią: przyzwyczajoną do zarabiania w rublach, ale często podróżującą za granicę. To ją najbardziej dotknął wzrost kursu walutowego. Ale czy w Rosji jest tak wielu przedstawicieli klasy średniej?

| Czyli w starciu telewizora z lodówką nadal wygrywa telewizor?

Walka między lodówką a telewizorem to piękna alegoria, tylko że tej walki tak naprawdę nie ma. Poziom dobrobytu przeciętnego mieszkańca rosyjskiego miasta – a ruchy protestacyjne aktywne są głównie w miastach, nie na wsi – jest na tyle wysoki, że nie musi się on przejmować, gdzie będzie mieszkał i co będzie jadł. Taka osoba zaspokaja swoje podstawowe potrzeby, a telewizor zapewnia jej niezbędną rozrywkę. Mimo wszystkich turbulencji ostatniej dekady Rosjanom żyje się lepiej niż w latach dziewięćdziesiątych.

Ta stabilność może się jednak nagle skończyć i nie będzie to efektem represjonowania opozycji czy międzynarodowej izolacji. Społeczeństwo rosyjskie jest bardzo obciążone kredytami. Badania wskazują, że mieszkańiec miasta w średnim wieku spłaca dwa-trzy kredyty bankowe. Często przeznaczają na to nawet połowę budżetu gospodarstwa domowego.

Dostępność kredytów po 2014 roku pomaga amortyzować trudności związane z kryzysem gospodarczym. Jednocześnie łatwe do uzyskania pożyczki powodują powiększanie się bańki, która pewnego dnia pęknie. Tak się stało z amerykańskimi hipotekami w 2008 roku. To załamanie gospodarcze spowoduje z kolei zawirowania polityczne.

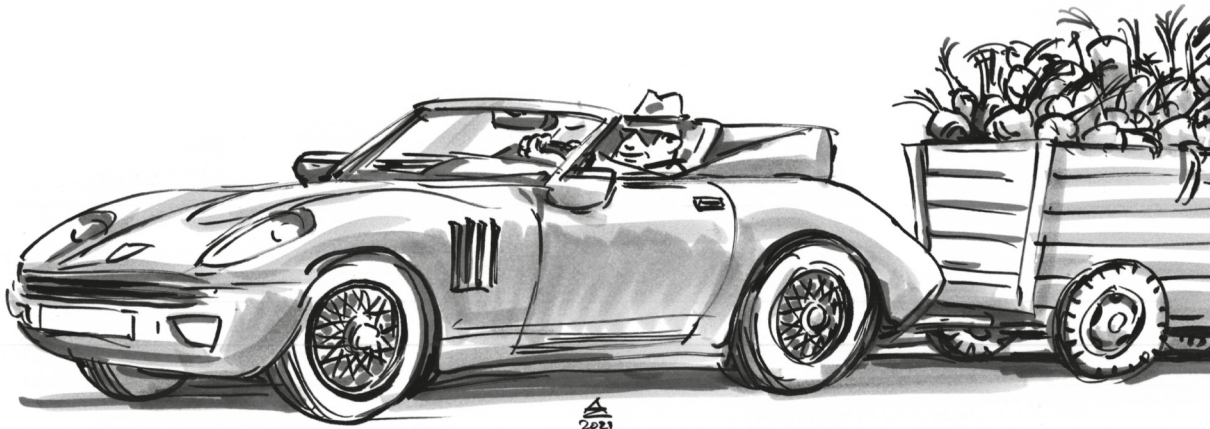
| Kolejny rozdział w historii Rosji otworzy nie przewrót pałacowy, ale protesty społeczne na dużą skalę?

Nie wierzę, aby w najbliższej przyszłości miały mieć miejsce spiski i zamachy pałacowe. Nikt spośród bliskich współpracowników Putina nie rzuci mu wyzwania. Aby mieć dostęp do zasobów państwowych, trzeba być przyjacielem prezydenta, a aby być przyjacielem prezydenta – trzeba być

niekwestionowanie lojalnym. Najmniejszy przejaw nielojalności oznacza, że jesteś zdrajcą. A zdrajcy są karani.

Najważniejszym słowem opisującym dzisiejsze życie Rosjan jest niesprawiedliwość. Poziom życia większości spada, a grupa osób – nie najbardziej zasłużonych, ale szczególnie lojalnych wobec władz – ma nieograniczony dostęp do ogromnych zasobów państwowych.

Tymczasem iskrą dla protestów może być następny film o tajnym pałacu prezydenta, ale raczej będzie to wyższy rachunek od spółdzielni mieszkaniowej lub list z banku o zaległej pożyczce.



Nasze zielone balkony

Z Julią Mostową, redaktorką naczelną
ukraińskiego tygodnika „Dзерkało Tyżnja”,
rozmawia Piotr Andrusieczko



Julia Mostowa – ukraińska dziennikarka i współzałożycielka tygodnika „Dzierkało Tyżnja”. Od 2011 roku jego redaktorka naczelna.

Piotr Andrusieczko – reporter w „Outriders”. Współpracuje z polskimi mediami, między innymi z „Gazetą Wyborczą”.

PIOTR ANDRUSIECZKO: Czy w pierwszej połowie 1991 roku miała pani przecucie, że dokonują się radykalne zmiany? Wówczas już od kilku lat w ZSRR, w tym w Ukrainie, trwały burzliwe procesy.

JULIA MOSTOWA: Tak, miałam przecucie, że zachodzą ważne i długo oczekiwane zmiany. Czuło się, że „pasty, którą wyciśnięto z tubki”, już nie da się wepchnąć z powrotem. Ale do czego to wszystko doprowadzi? Wtedy nie wiedziałam. W 1991 roku skończyłam uniwersytet. Zaczęłam pracować jako dziennikarka dwadzieścia cztery dni przed narodzinami niepodległej Ukrainy.

Nieco wcześniej, w marcu 1991 roku, odbyło się ogólnoradzieckie referendum w sprawie zachowania „odnowionego ZSRR”. W Ukrainie tę gorbaczowowską ideę poparło około siedemdziesięciu procent głosujących, jednak już 1 grudnia dziewięćdziesiąt procent osób opowiedziało się za niepodległością Ukrainy. Co przez tych kilka miesięcy tak diametralnie zmieniło opinię Ukraińców? Czy był to tylko moskiewski pucz?

Trwał intensywny czas, kruszały tabu. Wówczas – a również przez kilka lat po dziewięćdziesiątym pierwszym i kilka przed nim – ludzie masowo uwalniali swój potencjał i wychodzili z wąskich schematów myślowych.

Myślę, że Ukraińcy już wcześniej byli gotowi na politykę głośności czy gorbaczowowskie reformy gospodarcze, ale w marcu 1991 roku w większości wciąż psychologicznie nie byli jeszcze w stanie przyjąć do wiadomości, że ZSRR może zniknąć.

| Ale w grudniu już tak.

Tak – otworzyły się czakry, ludzie byli w stanie uniesienia, a gdy w sierpniu za sprawą puczu Janajewa próbowano cofnąć zmiany i „wepchnąć pastę do tubki”, Ukraińcy się już na to nie zgodzili.

| Swoj pierwszy artykuł o ukraińskiej polityce napisała pani 23 sierpnia 1991 roku – dzień przed ogłoszeniem niepodległości. Czego dotyczył?

Byłam nowicjuską w redakcji „Kyjiwskoho Wisnyka”, wówczas organu komitetu miejskiego Komunistycznej Partii Ukrainy. Dzień wcześniej upadł pucz Janajewa. Podczas niego poczułam chłodny oddech lat 1936-37. Zazwyczaj plotkujący taksówkarze tym razem po prostu zamilkli i milczeli, gdy w telewizji puczyści nadawali muzykę z *Jeziora Łabędziego*. Trwała pieriestrojka, ale oni nagle przypomnieli sobie, czym jest niebezpieczeństwo i jak machina państwowa może wszystko zdusić. Zrozumiałam, że czeka nas długa droga, aby ludzie stali się całkowicie wolnymi.

W artykule napisałam, że bardzo mi się nie spodobało, jak podczas puczu redaktor naczelny „Ogonioka” Witalij Korotycz porzucił swoje czasopismo. Zostało ono zamknięte, były przeszukania, a on przebywał w tym czasie w Stanach Zjednoczonych i oświadczył, że nie wróci, bo go zaaresztują. W tym samym czasie Mstisław Rostropowicz [znany wiolonczelista, dyrygent i obrońca praw człowieka – przyp. red.], jak tylko usłyszał o puczu, wskoczył do samolotu i przyleciał do tej niebezpiecznej, strasznej Moskwy. Zrobił to, bo podczas tak ważnych i groźnych wydarzeń musiał być ze swoją ojczyzną.

Tak się złożyło, że pierwszy wywiad dotyczący polityki przeprowadziłam jesienią 1991 roku ze Zbigniewem Brzezińskim, który akurat przyjechał do Ukrainy. Byłam jedyną dziennikarką, której udało się z nim porozmawiać. Wcześniej radziecki system uniemożliwiłby mi przeprowadzenie tego wywiadu czy kolejnych, które robiłam: z Henrym Kissingerem, kanclerzem Niemiec czy liderami innych państw europejskich. To był czas, który otworzył takie możliwości.

Nieco wcześniej, podczas wygłoszonego 1 sierpnia 1991 roku w Kijowie przemówienia, optymistyczny co do przyszłości niepodległej Ukrainy nie był George Bush, ale w pierwszych latach po 1991 roku optymistyczni byli już wszyscy – chociaż rozumieli, jakie będą trudności.

Właśnie: panowała euforia, społeczeństwo było gotowe do poświęceń. Co w takim razie stało na przeszkodzie radykalnym reformom, które znamy choćby z historii Polski po 1989 roku?

Nie powiedziałabym, że reformy się nie odbyły. Nie można zapominać, że w odróżnieniu na przykład od Polski, Węgier czy Rumunii musieliśmy najpierw pokazać siebie światu jako niezależny kraj. Ukrainie, wcześniej radzieckiej republice, brakowało wielu instytucji państwowych. To była ogromna praca – zaczynając od rozbudowy MSZ, a kończąc na tworzeniu służb specjalnych.

Wiele rzeczy zostało wówczas zrobionych, chociaż niektóre nie tak, jak należało. Największy nasz problem polegał jednak na tym, że byliśmy narodem z wielką historią, ale nie mieliśmy doświadczenia własnej państwowości. To było zaś potrzebne, by sformułowała się wizjonerska elita mogąca myśleć niezależnie od moskiewskiej metropolii; grupa, która decydowałaby o strategicznym rozwoju kraju.

Nasze trudności tworzenia owej elity były związane z faktem, że zbyt długo rządziły nami inne państwa. W tym czasie mniejsza odpowiedzialność za sprawy publiczne spoczywała na samych Ukraińcach i gdy wreszcie zaczęliśmy samodzielnie decydować o swoim kraju, ludzie skoncentrowali się bardziej na własnych rodzinach. Polska przechodziła przez straszne okresy rozcłonkowania kraju, ale Polacy zawsze stanowili jeden naród, posługiwali się jednym językiem. Polska miała też wielką tradycję swojej państwowości, a nawet okres, w którym była imperium. U nas takiej historii nie było.

Dobrze pamiętam bazy w Polsce, na których handlowali Ukraińcy, polski bazar we Lwowie i tę wymianę: wy jeździliście do nas po miksery, pralki i telewizory, a my do was po szminki. Potem poszliśmy jednak różnymi drogami, wy byliście swojej bardziej świadomi. W Polsce panował konsensus pomiędzy różnymi siłami politycznymi co do członkostwa w UE i NATO. W Ukrainie takiego konsensusu nie ma do dzisiaj. Musieliśmy budować nie tylko niepodległe państwo, nie tylko instytucje, ale również inny pogląd na samych siebie,

W Polsce panował konsensus pomiędzy różnymi siłami politycznymi co do członkostwa w UE i NATO. W Ukrainie takiego konsensusu nie ma do dzisiaj.

Wstąpić do UE jest łatwiej, niż zmienić mentalność.

na świat i nasze miejsce w nim. Wstąpić do UE jest łatwiej, niż zmienić mentalność.

Miała pani możliwość rozmawiać z wieloma politykami, w tym z Leonidem Kuczumą. To na razie jedyny prezydent Ukrainy, który sprawował urząd przez dwie kadencje. Wielu narzeka, że do dzisiaj odczuwalne są konsekwencje jego prezydentury – chociażby powstanie systemu oligarchicznego – ale Ukraina zaczęła się wtedy integrować z Zachodem. Zachód nie chciał, aby owa integracja się pogłębiła?

Początkowo, po 1991 roku, ludzie euforycznie myśleli, że każdy może być kapitalistą, mieć własny biznes, ale potem okazało się, że wszystko nie jest takie proste. Nie wszyscy mają do tego smykałkę, nie wszyscy są gotowi na ryzyko, a ci, którzy byli gotowi, stykali się z rzeczami, których istnienia nawet nie podejrzewali. Gospodarcze porażki, będące naturalną konsekwencją rozerwania licznych relacji z czasów ZSRR, sprawiły, że wielu Ukraińców się rozczarowało.

Leonid Kuczma wygrał wybory w 1994 roku, głosząc prorosyjskie hasła, objął urząd jako czerwony dyrektor. Odniósł sukcesy, odniósł porażki, ale fakt, że kieruje niezależnym państwem, uświadomił sobie dopiero, kiedy rozpoczynał drugą kadencję. Jestem przekonana, że jego zamiar skierowania Ukrainy na Zachód – co oświadczył w swoim drugim inauguracyjnym przemówieniu w 1999 roku – był szczerzy i świadomy. W 2003 roku wydał książkę pod tytułem *Ukraina to nie Rosja*. Kuczma nie tylko zapewnił, że mamy podążać w kierunku integracji z UE i NATO, ale też potwierdził to działaniami w kraju.

| Jakie to działania?

Po pierwsze, w 1999 roku w wirtuozerski sposób zastąpił premiera Waleńrija Pustowojtenkę Wiktoorem Juszczenką, który wydawał się wtedy bardzo progresywnym, proukraińskim politykiem.

Po drugie, pozbył się skompromitowanych ludzi, których sam wykreował podczas pierwszej kadencji. Kiedy rozpoczął drugą, w jego otoczeniu nie było oligarchów. Pozwolił Juszczence sformułować samodzielnie rząd i nie był on najgorszy.

Widać, że zapewnienia Kuczmy o drodze na Zachód nie były tylko czczymi słowami i właśnie dlatego, moim zdaniem, doszło do zabójstwa Heorhija Gongadze. Kuczumą trzeba było odciąć od Zachodu. Za sprawą

„kasetowego skandalu” [Kuczma został nagrany, gdy miał sugerować porwanie Gongadzego – przyp. red.] Rosji rzeczywiście się to udało, ponieważ jedynym jego skutkiem było przyciśnięcie Kuczmy do kremłowskiej ściany. Gongadze został zamordowany, a Kuczma okazał się z punktu widzenia Zachodu nieakceptowalny. Europejski kurs Kijowa został zakończony, a władza zmieniła swój *modus operandi* na represyjno-karykaturalny. Gdyby nie było tej historii, druga kadencja Kuczmy zakończyłaby się zupełnie inaczej.

Kiedy w 1994 roku wybrano Kucznię po raz pierwszy, w sąsiedniej Białorusi też pojawił się nowy prezydent, który sprawuje swój urząd do dziś. Czy w Ukrainie istniało ryzyko realizacji białoruskiego scenariusza, czyli stworzenia systemu autorytarnego?

Nie. Istnienie niezależnego ukraińskiego państwa pozwoliło naszemu społeczeństwu udowodnić, czym odróżniamy się od niektórych swoich sąsiadów. Ukraina to nie tylko nie Rosja, Ukraina to też nie Białoruś. Ukraińcy pokazali, jak bardzo miłują wolność. Nie wyobrażam sobie na czele Ukrainy ani Władimira Putina, ani Alaksandra Łukaszenki. Kuczma nie był do nich podobny.

To człowiek, który pierwszy raz wyjechał za granicę tuż przed tym, jak w 1992 roku został premierem. Był produktem radzieckiego systemu zarządzania, ale jednocześnie jako człowiek wywodził się ze środowiska wolnej inteligencji technicznej. Dlatego nie można go porównywać ani z Putinem, który wyszedł z KGB, ani z Łukaszenką, który wyszedł ze środowiska agrarno-kołchozowego. To różni ludzie. I myślę, że nasze trzy Majdany pokazują, że da się nas osiodłać i jakiś czas jechać jak na kobyle, ale niezbyt długo.

Wspomniała pani o Juszczence, który dał nadzieję, ale nie została ona zrealizowana. Czy to doświadczenie bardzo wpłynęło na ukraińskie społeczeństwo?

Myślę, że tak. Silnie wpłynęło też na samo państwo, bo w tym okresie rozpoczęła się biurokratyczna degradacja. Zarządzanie krajem to profesja, jednak z jakiegoś powodu za czasów Wiktora Juszczenki zdecydowano, że może się tym zajmować ktokolwiek. Zwolniono tysiące państwowych urzędników, nastąpił „instytucjonalny alzheimer”, który dziś osiąga swój pik.

Co więcej, ludzie podczas pomarańczowej rewolucji ubóstwiali w pewnym momencie jej liderów (tego nie było już na kolejnym Majdanie). I gdy później zobaczyli, jak ich idole kłócą się ze sobą, bardzo ich to rozczarowało. Inna sprawa, że Ukraińcy mieli wówczas zawyżone oczekiwania, których nikt nie mógłby spełnić.

Ale to rozczarowanie miało też swoją dobrą stronę. Stanowiło bodziec dla świadomego protestu wobec paternalizmu jako sposobu współistnienia społeczeństwa i państwa. Ludzie zaczęli być obywatelami nie tylko w sensie prawnym, ale również ekonomicznym. To nadzwyczajnie ważny moment, kiedy ludzie przestają liczyć wyłącznie na państwo. Pierwsze lata prezydentury Juszczenko aż do wybuchu kryzysu w 2008 roku były dobrym gospodarczo czasem. Pozwoliły na umocnienie się klasy średniej. Nie dzięki elicie, nie dzięki szerokim warstwom, ale właśnie dzięki inicjatywie samej klasy średniej – jej wiedzy, gospodarności, aktywności – istniejemy. To właśnie ci ludzie byli podstawą Majdanu z lat 2013-2014.

Owszem, robi się ich trochę mniej, a wśród nich są też tacy, którzy nie wytrzymują – jadą pracować na Zachód. Są i tacy, którzy udają się na Wschód. Ale wielu się nie poddaje.

Czy można w takim razie powiedzieć, że fraza „moja chata z kraja” jest w przypadku Ukrainy już nieaktualna?

Kiedy wiekami żyjesz pod obcą władzą, grupa ludzi, którym ufasz, ogranicza się do rodziny i kumów. Żeby móc zwiększyć tę grupę, móc zjednoczyć się i stawiać przed sobą wielkie zadania, musi minąć czas i to też jest częścią mentalnych zmian, które teraz się dokonują. Oczywiście, chciałoby się, żeby wszystko było szybciej. Ale najważniejsze, że ten ruch jest i widzimy rezultaty.

Zobaczyliśmy to na ostatnim Majdanie. Czasami jednak słyszę komentarze o niejednoznacznych rezultatach rewolucji godności – krytycy mówią, że ceną, którą trzeba było zapłacić, była utrata Krymu i części Donbasu.

Po pierwsze, to nie była rewolucja. To był bunt, moim zdaniem, sprawiedliwy i jest zrozumiałe, dlaczego się odbył. Rozpoczęliśmy go bez liderów opozycji. O ile w 2004 roku skupialiśmy się wokół Juszczenko, o tyle w latach 2013-2014 była to zupełnie inna historia. Kiedy w 2004 roku na scenę wychodzili Juszczenko lub Tymoszenko, ludzie wykrzykiwali tylko hasła poparcia, przede wszystkim „Juszczenko tak!”. To byli bogowie Olimpu.

A kiedy Tymoszenko wyszła z więzienia w lutym 2014 roku i pojechała na Majdan na swoim wózku inwalidzkim, to podczas jej przemówienia komuś ze zwykłych ludzi zrobiło się słabo i cały Majdan ją przekrzyczał – wszyscy przejęli się tym, co się dzieje z chorym, a nie tym, co mówiła Tymoszenko. To był zupełnie inny Majdan.

Ale po Majdanie, za którym stali romantycy, pozostali mali ludzie, którzy nie obronili Krymu i kontynuowali schematy znane z czasów Janukowycza. Nasz bunt, poryw i szczerłość wykorzystali „liderzy”, czyli politycy.

Potrąfimy walczyć o swoją wolność: na Majdanie, na froncie czy po prostu uczciwie pracując. W przełomowych momentach umiemy się jednoczyć. Ale kiedy te emocjonalne piki się kończą, następuje codzienna rutyna, która wymaga od ludzi na wszystkich poziomach – „od wiejskiego do peczerskiego” [Peczersk to elitarna dzielnica Kijowa, w której znajdują się najważniejsze budynki rządowe – przyp. red.] – kontrolowania władzy. Potrąfimy walczyć o wolność, ale wspierać ją kontrolą każdego dnia – tego jeszcze nie.

Ale mówić, że byłoby lepiej, gdyby nie doszło do Majdanu? Nie! Nie mogę się z tym zgodzić. Jakby to się nie stało wtedy, to odbyłoby się w innym czasie w innej formie, na przykład w 2015 roku, kiedy były zaplanowane wybory prezydenckie. Gdyby wówczas Janukowycz dopuścił się falsyfikacji i poszedł drogą Łukaszenki, protest mógłby się przerodzić w wojnę domową na pełną skalę.

I Czy zobaczymy Ukrainę bez oligarchów?

Oligarchowie to tymczasowy problem. Dzisiaj wydają się wszechmocni, a jutro ich telewizje nie będą już tak znaczące. Dzisiaj wydają się najpotężniejsi, ale nie inwestują w modernizację swojej produkcji, korzystając jedynie z tych zasobów, które pozostały po ZSRR. Piłują gałąź, na której siedzą. Ich baza gospodarcza dzisiaj jest jeszcze żywa, ale nie jest już tak potężna jak dawniej. Oligarchowie z czasem zejną na psy.

Na przykład Polska w swoim czasie podjęła kroki, dzięki którym stała się szóstą gospodarką Europy. W tym czasie ukraińscy oligarchowie zajmowali czołowe miejsca na liście „Forbesa”. Mamy dwie różne drogi. Swoją podążamy wolniej i z wielkimi stratami.

Mija trzydzieści lat od rozpadu ZSRR. Czy w stosunku do Ukrainy jest nadal usprawiedliwione używanie terminu „poradziecki”?

Inna Ukraina zacznie się wtedy, gdy ktoś zrezygnuje z urządzania sobie zielonego balkonu w zabytkowym budynku według własnego widzimisię.

Ukraina nie jest monolitem, to patchworkowy kraj – jak koc, który jest zszyty z różnych kawałków tkanin. W stosunku do niektórych regionów określenie „poradziecki” jest aktualne, dla innych w mniejszym stop-

niu. Jest coraz mniej ludzi, którzy dorastali w Związku Radzieckim. Ale w latach dziewięćdziesiątych, kiedy formowało się pokolenie, które teraz rządzi, ich rodzice nie mieli czasu się nim zajmować. Odeszli ze swoich katedr, szkół, zawodów inżynierskich i „wyżywiali” z krawczuczakami i kucznowoza-

mi [potoczne nazwy ręcznych wózków do przewożenia towaru – przyp. red.]. W najlepszym razie większość z nich pod koniec tygodnia mówiła: „pokaż swój dzienniczek” i kiedy tam były dwójki i trójki, co robili? Pytali zmęczeni: „ile trzeba wysłać twojej Marii Iwaniwnej, żeby postawiła normalne oceny?”. Bo wszyscy wiedzieli, że Maria Iwaniwna jest żebraczką, jak wszyscy nauczyciele w tych latach. I że ona bierze, bo też chce wyżyć. Oni dawali łapówkę, a autorytet Marii Iwaniwnej upadał.

Wyrosło całe pokolenie, które wychowywało się samo. Rodzice im nie opowiadali, co jest dobre, a co złe. Nie mieli czasu i sił. Nauczyciele też o tym nie mówili. To na tych dzieciach skoncentrowało się najgorsze, co pozostało z sowka i najgorsze, co na samym początku przyleciało z Zachodu – żądza pieniędzy i egoizm. Dlatego dziś bardzo trudno im myśleć o kimś innym oprócz o samych sobie. To ludzie, którzy potrafią bronić swoich interesów, ale nikt ich nie uczył dbać o innych, nie uczył ich miłosierdzia, systematycznego myślenia, bycia elitą.

Inna Ukraina zacznie się wtedy, kiedy ludzie nie w heroicznym zrywie, a w życiu codziennym dogadają się i ustalą wspólne zasady. Uda się, gdy ktoś zrezygnuje z urządzania sobie zielonego balkonu w zabytkowym budynku według własnego widzimisię. Wtedy zacznie się inny kraj, który będzie w stanie wykorzystać ogromny potencjał gospodarczy, ludzki i intelektualny, międzynarodowy i geopolityczny.



Zachód nie dał nam marchewki

Ze Swiatłaną Kalinką,
białoruską dziennikarką i reporterką,
rozmawia Zbigniew Rokita

Swiatłana Kalinkina – białoruska dziennikarka, redaktorka naczelna portalu Bełorusskij Partizan, autorka (wspólnie z Pawłem Szaramietem) książki *Słuczajnyj prezident (Przypadkowy prezydent)*.

Zbigniew Rokita – dziennikarz i reporter, specjalizuje się w problematyce Europy Wschodniej i Górnego Śląska. Autor książek, między innymi ostatnio wydanej *Kajs. Opowieść o Górnym Śląsku*.

ZBIGNIEW ROKITA: W niektórych republikach związkowych – ukraińskiej, litewskiej czy łotewskiej – w dobie pieriestrojki aktywnie walczone o niepodległość. A czy Białorusini niepodległość w 1991 roku zdobyli czy otrzymali?

SWIATŁANA KALINKINA: Wiosną 1991 roku odbyło się referendum i większość Białorusinów wolała pozostać w ZSRR.

I Dlaczego?

Białoruś bardzo ucierpiała podczas drugiej wojny światowej. Po 1945 roku do republiki przyjechali ludzie z różnych regionów ZSRR, aby ją odbudować – wielu Rosjan, Ukraińców. Na Białorusi, jako zachodniej rubieży państwa, mieściły się też liczne jednostki wojskowe. Stacjonowało tu wraz z rodzinami wielu mundurowych, którzy po przejściu na emeryturę pozostawali w republice. Na Białoruś migrowało wiele osób, które nie były wcześniej związane z tym miejscem – ale były obywatelami Związku Radzieckiego. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że na Białorusi – jako na wspomnianej zachodniej rubieży kraju – szczególnie silna była radziecka propaganda. W miastach mówiło się po rosyjsku, białoruski trzymał się przede wszystkim na wsiach. Ludzie żyli na stosunkowo wysokim poziomie, przyjeżdżali tu z przysłowiowego Murmańska i dziwili się, jak dużo produktów jest dostępnych w naszych sklepach. Wszystko to sprawiało, że problem narodowościowy czy tożsamościowy schodził na dalszy plan i był kluczowy tylko dla części inteligencji. Różniło to Białoruś od wielu innych republik radzieckich.

Dotarłem do badań opinii publicznej z 1993 roku, które pokazały, że pięćdziesiąt jeden procent mieszkańców Białorusi chciało wówczas przywrócenia ZSRR, a jedynie dwadzieścia dwa procent się temu sprzeciwiało. Kiedy Białorusini zaczęli w większości opowiadać się za niepodległością?

Wielu Białorusinów przez długi czas zupełnie się nad tym nie zastanawiało – ktoś tęsknił do ZSRR, dla innych własne państwo było abstrakcją. Wszędzie króluje rosyjski, w szkołach uczą historii w narracji rosyjskiej, a nie białoruskiej, propaganda wciąż twierdzi, że Białorusini i Rosjanie to jeden naród. Ludziom wydawało się jednocześnie, że nie będzie już żadnych zmian – staliśmy się niepodlegli w 1991 roku, komuś mogło się to podobać, komuś nie, ale dyskusja wydawała się zamknięta. Później jednak doszło do wydarzeń w Ukrainie [aneksji Krymu i wojny w Donbasie – przyp. red.]. Myślę, że większość dopiero wówczas uświadomiła sobie, jaką wartością jest białoruska suwerenność. Zadano sobie pytanie: chcemy być niepodlegli czy stać się częścią Rosji?

I jakich odpowiedzi udzielano?

Nie powiedziałabym, że zdecydowana większość Białorusinów popiera niepodległość Białorusi. Silne jest przekonanie, że pod Władimirem Putinem jest lepiej niż pod Alaksandrem Łukaszenką, niejeden Białorusin życzyłby sobie wejścia w skład Rosji. Nie mamy jednak badań, które podawałyby konkretne liczby.

Problem z tego typu badaniami w krajach takich jak Białoruś polega na tym, że dla każdego „integracja z Rosją” może oznaczać coś innego – dla jednych Państwo Związkowe, dla innych ciepłe relacje międzypaństwowe, a dla jeszcze innych zjednoczenie.

Owszem. Łukaszenka w 1995 roku spytał Białorusinów, czy życzą sobie integracji z Rosją. Ci odpowiedzieli twierdząco, ale tam pytano o integrację gospodarczą, a nie o wspólne państwo czy walutę. Białorusini w każdej fabryce rozumieją, że Rosja jest ich rynkiem zbytu, stamtąd importuje się części zamienne, tam jeździ się do pracy, w sklepach są rosyjskie towary. Chcą żyć z Rosjanami pokojowo, nie walczyć. Nie znamy więc rzeczywistych nastrojów Białorusinów na ten temat, natomiast wspomniane referendum pozwoliło na spekulacje, które trwają po dziś dzień.

A czy gdyby w 1994 roku prezydentem został Wiaczesław Kiebicz lub Zianon Paźniak, Białoruś byłaby dziś zupełnie innym krajem? A może pewne rzeczy i tak musiały się stać? Mam na myśli między innymi prorosyjskie nastroje, które wciąż są silne w państwie.

W 1994 roku najbardziej prorosyjskim kandydatem był Kiebicz, który obiecywał na przykład wprowadzenie rosyjskiego rubla. Gdyby jednak prezydentem został Paźniak i zaczął prowadzić silnie antyrosyjską politykę, długo by się nie utrzymał. Aż do wydarzeń w Ukrainie większość Białorusinów szczerze uważała Rosjan za przyjaciół i nawet nie przychodziło im do głowy, że Rosja może chcieć zabrać Białorusinom ziemię czy państwo. Ludzie przemieszali się do tego stopnia, że nie odbierano Rosji jako wrogiego państwa.

Jeśli Łukaszenka doszedłby do władzy pięć lat później, nie stałoby się to, co się stało. Nie udało by się mu zostać carem.

Lawon Barszczeuski powiedział mi kiedyś w rozmowie dla „Nowej Europy Wschodniej”: „Zabrakło nam czasu; gdyby Łukaszenka pojawił się kilka lat później, nie byłby już w stanie wyrwać do góry nogami – między innymi zdławić języka białoruskiego”. Zgadza się pani? Opozycji zabrakło czasu? Myślę, że tak. Białorusini nie zdążyli docenić zalet życia w państwie demokratycznym. Przy Stanisławie Suszkiewiczu [formalny przywódca Białorusi w latach 1991-1994] wszystko dopiero się zaczynało, a do tego na okres jego rządów nałożył się rozpad ZSRR czy problemy gospodarcze. Demokracja zbiegła się więc w czasie z niepewnością jutra, biedą, ucinaniem pensji, stawianiem fabryk. Gdy zaś reformy mogły już przynieść wymierny rezultat, a ludzie poczuć, że wszystko zmierza w dobrą stronę, do władzy doszedł Łukaszenka. W tym momencie nie mieliśmy jeszcze wykształconych niezależnych mediów. Zaczęło się oczernianie opozycji, narodowej idei.

Z tego powodu zgadzam się z Barszczeuskim – jeśli Łukaszenka doszedłby do władzy pięć lat później, nie stałoby się to, co się stało. Nie udało by mu się zostać carem. Ale w 1994 roku Białorusini chcieli rządów twardej ręki.

Mam poczucie, że często przecenia się znaczenie Łukaszenki dla Białorusi. W jakim stopniu pani zdaniem dwadzieścia siedem lat jego rządów wpłynęło na białoruską mentalność?

W 1994 roku, gdy wystartował pierwszy raz w wyborach, w pełni odpowiadał mentalności większości Białorusinów. Wówczas był demokratą, opowiadał się za walką z korupcją czy z nomenklaturą. To był człowiek z narodu, jego przemówienia imponowały ludziom. Początkowo mu ufano, ale z czasem coraz mniej nadążał za białoruską mentalnością. Odchodziło stopniowo pokolenie pamiętające radzieckie czasy, przychodzili młodzi, a Łukaszence przybywało lat. Nie spotykał się już tyle z narodem, nie wychodził jak wcześniej do Parku Gorkiego, wsłuchiwał się tylko w głos urzędników, oddalał się od ludzi coraz bardziej i bardziej.

Już od dawna rosło niezadowolenie społeczeństwa z władzy. Nazwałabym je „milczącym oczekiwaniem”. Białorusini są poważnymi ludź-

Białorusini wciąż dobrze odnoszą się w większości do samych Rosjan – gorzej do Rosji jako do państwa.

mi, wszystko szczegółowo przemyślują. Dla wielu z nich białoruska opozycja była niepoważna. Dopiero w 2020 roku pojawili się wśród kontestatorów Łukaszenki gracze wagi ciężkiej, ludzie z nomenklatury, którzy stanęli do wyborów. Dało to wyborcom nadzieję, że polityka ma sens, że ktoś może

zastąpić prezydenta. Znaczenie polityków, którzy rzucili reżimowi wyzwanie, było zapalnikiem masowo mobilizującym Białorusinów – nigdy przedtem sąsiedzi nie chodzili do siebie, żeby zbierać podpisy pod kandydaturami, a w ubiegłym roku w politykę zaczęli angażować się ludzie wcześniej apolityczni.

Nastroje niezadowolenia wzmocniła również pandemia. Władze ostentacyjnie demonstrowały brak szacunku dla narodu, zerowe chęci do z troszczenia się o jego zdrowie. Łukaszenka posuwał się nawet do poniżania tych, którzy umarli z powodu koronawirusa: mówił, że nie można tyle „zreć”, trzeba być szczupłym, dbać o zdrowie i tak dalej.

Wspominała Pani o 2014 roku i wydarzeniach w Ukrainie, które były wstrząsem dla wielu Białorusinów. Jak Krym i Donbas na nich wpłynęły?

Po pierwsze, niezależnie od tego, że żyjemy tu na ogół w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej, to nawet rosyjska propaganda nie zdołała przekonać większości Białorusinów, że w Ukrainie doszli do władzy faszyci i bandyci. Społeczeństwo podzieliło się po połowie.

| Połowa opowiedziała się za Rosją, połowa za Ukrainą?

Tak. Rosyjska propaganda była na Białorusi nawet kontrskuteczna. Białorusini pytali, czy Rosjanie nie mają innych problemów poza Ukrainami – wiedzą przecież, że w Rosji niejeden żyje w złych warunkach, drogi są kiepskie i tak dalej. Wcześniej propaganda mówiła o wrogim NATO i przyjaznej Rosji, ale na Białorusi wraz z wydarzeniami na Krymie upadło przekonanie o trzech słowiańskich narodach-siostrach: Białorusi, Ukrainie i Rosji. Da się wyczuć ostrożność. Już po Krymie widziałam w Mińsku sceny, które wcześniej trudno byłoby sobie wyobrazić. Białorusini pytali rosyjskich turystów w sklepach, na placach: „A po co do nas przyjeżdżacie? Rosja to taka wielka strana, jeźdźcie na Syberię”. Pojawiały się informacje, że samochody z rosyjskimi rejestracjami oblewa się farbą. Rosjanie zaczęli czuć się niekomfortowo. A na Białorusi nigdy wcześniej nie było antyrosyjskich nastrojów. Ale Białorusini wciąż dobrze odnoszą się w większości do samych Rosjan – gorzej do Rosji jako do państwa.

A jak na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat zmieniał się stosunek Białorusinów do Zachodu? Często w Polsce odmalowuje się Białoruś jako kraj, gdzie ścierają się siły proeuropejskie i prorosyjskie, ale linie podziału przebiegają tam jednak gdzieś indziej niż na przykład w Ukrainie czy na Litwie.

Wcześniej wielu widziało w Zachodzie wroga, ale teraz już nikt go tak nie postrzega. Inna sprawa, że Zachód nigdy nie proponował Białorusi perspektywy wspólnego życia. Od dawna słyszeliśmy, że jesteśmy „strefą odpowiedzialności Rosji”, że Unia Europejska dalej na wschód rozszerzać się nie będzie, że Zachód nie chce „drażnić niedźwiedzia” i tak dalej.

| Zabrakło marchewki?

Tak, zabrakło. I dlatego Białorusini rozumieją dziś, że na Zachodzie nikt na nich nie czeka, że pozostaniemy strefą buforową między Rosją i Zachodem. Białorusini czują się urażeni przez Zachód, czują się zakładnikami swojego geograficznego położenia: z jednej strony Rosja, a z drugiej Zachód, który zawsze demonstrował, że nie będzie spierał się z Moskwą o Białoruś. Nikt nie dał nam mapy drogowej, nie powiedział, że jeśli zrobimy to i to, wówczas możemy stać się członkami Unii Europejskiej. Może

Zachód nigdy nie proponował Białorusi perspektywy wspólnego życia.

byłoby inaczej, gdyby białoruscy politycy byli bardziej proeuropejscy, ale nie zmienia to faktu, że nigdy taka perspektywa nie była na Zachodzie artykułowana.

To ciekawe, bo w Polsce po 1989 roku mieliśmy przynajmniej dwa cele, wokół których jednoczył się niemal cały naród: wstąpienie do NATO i do UE. Po 2004 roku zabrakło nam jednak wspólnych dla całego społeczeństwa celów i zaszkodziło to państwu. Zastanawiam się, czy Białorusini po 1991 roku mieli takie jednoczące wszystkich obywateli cele?

Może nie dotyczyło to wszystkich, ale większości – pozbawienie Łukaszenki władzy.

Mówi pani o bieżących protestach?

Tak. Ale poza tym nie było celu, który po 1991 roku jednoczyłby tak wielu Białorusinów.

A pokusiłaby się pani o wskazanie najbardziej pozytywnych wydarzeń, procesów z historii Białorusi po 1991 roku? Co się udało?

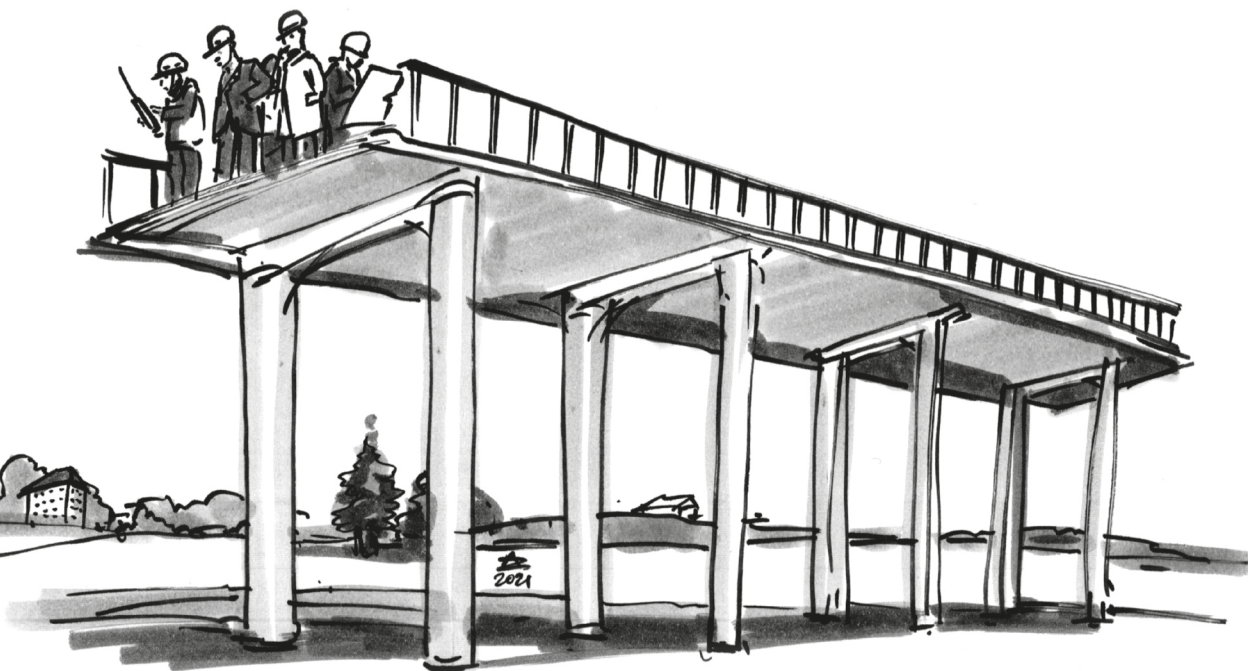
Po pierwsze, mimo tak agresywnej władzy Białorusini pozostali ludźmi tolerancyjnymi. Nie doświadczyliśmy żadnych konfliktów na tle narodowościowym czy wyznaniowym. Pozostajemy wyrozumiali, pokojowi – pokojowa nie jest tylko nasza władza.

Po drugie, gdy państwo pozostawiało ludzi samych sobie i należało na przykład zbierać pieniądze na leczenie dzieci czy dla internatów, Białorusini nauczyli się bardzo dobrze samoorganizować. Nie zaczęło się to wczoraj, ale już ładnych parę lat temu. Crowdfunding jest tutaj bardzo popularny.

Nie lubię, gdy podczas rozmów o Białorusi zbyt często pada nazwisko Łukaszenki, ale chciałbym, żebyśmy zmierzyli się z popularnym twierdzeniem: zgodnie z nim największym sukcesem prezydenta jest ochronienie białoruskiej niepodległości. Prawda czy fałsz?

Nikt nie zagrażał białoruskiej niepodległości i dlatego równie dobrze można dziękować Łukaszence za to, że nie dopuścił, aby zima zamieniła się miejscem z latem. On jej nigdy nie musiał bronić. Łukaszenka raczej niepodległością handlował, choć ostatecznie jej nie sprzedał. Ale tak czy inaczej to duży grzech – targować tym, co państwo ma najcenniejszego. I z każdym rokiem uzależniał Białoruś od Rosji coraz bardziej. W ostatnich

latach Łukaszenka wreszcie zdał sobie sprawę, że nie ma w Rosji żadnej politycznej przyszłości, zrozumiał wartość swojej władzy w samej Białorusi. Wcześniej można było jednak odnieść wrażenie, że Białorusini to dla niego etap w karierze. I dopiero niedawno przyznał, że historia Białorusi nie zaczęła się wraz z nastaniem jego rządów – a przecież jeszcze kilka lat temu białoruska propaganda właśnie tak twierdziła.



Pomost, którym się nie staliśmy

Z Kristiansem Rozenvaldsem,
łotewskim politologiem i publicystą,
rozmawia Antoni Radczenko

Kristians Rozenvalds – łotewski PR-owiec i komentator polityczny. W 1989 roku działał w Centrum Informacyjnym Frontu Ludowego, rok później został rzecznikiem prasowym ambasady Łotwy w Moskwie, a w 1993 roku był jednym z założycieli Łotewskiej Szkoły Dziennikarstwa i Łotewskiego Funduszu Medialnego. W latach dziewięćdziesiątych pracował również jako korespondent wojenny.

Antoni Radczenko – litewski dziennikarz i publicysta narodowości polskiej. Działacz społeczności polskiej na Litwie, członek Polskiego Klubu Dyskusyjnego.

ANTONI RADCZENKO: Kraje bałtyckie jako pierwsze w ZSRR rozpoczęły marsz ku niepodległości. Historia Litwy i Łotwy jest pod tym względem bardzo podobna: ogłoszenie niepodległości w 1990 roku, na początku kolejnego próba siłowego zdławienia niepodległościowych aspiracji przez Moskwę, aż wreszcie pełnia samodzielności po puczu Janajewa. Czy oczekiwania, które towarzyszyły mieszkańcom Łotwy w trakcie transformacji, ziściły się?

KRISTIAN ROZENVALDS: Oczywiście, że tak. Początkowo te oczekiwania i żądania były bardzo proste: chciano być sobą i być poza ZSRR. Osobiście udzielałem się we Froncie Ludowym, pracowałem w centrum informacyjnym. Nikt z Łotyszy, Litwinów i Estończyków nie zastanawiał się wówczas, jak będziemy funkcjonować w przyszłości: czy będziemy socjaldemokratami, liberałami, czy konserwatystami. Nikt nie zastanawiał się, czy będzie gorzej, czy lepiej. Po prostu chcieliśmy być niezależni. Pod tym względem oczekiwania spełniły się w stu procentach. Powstało wtedy nawet takie przysłowie: lepiej być gołym w kłumpiach [drewniane obuwie – przyp. red.] niż ubranym pod pierzyną Kremla.

Pierwsze dyskusje o tym, kim jesteśmy, w którą stronę podążamy, jak będziemy się rozwijali, rozpoczęły się później, w latach 1991-1993. Naturalnie były grupki inteligentów, które od początku mówiły, że ważne jest nie tylko odzyskanie niepodległości, ale również odbudowa kraju. Ogólny entuzjizm narodowy spowodował jednak, że tego typu dyskusje nie wychodziły poza intelektualne bańki.

**To, co udało się nam
w latach 1988-89, czy ciut
później, w 1990-91, to był
szczęśliwy zbieg okoliczności.**

Sądzę, że nam, krajom bałtyckim, bardzo się powiodło. Dobra passa trwała, gdy wybiłaliśmy się na niepodległość. Bądźmy szczerzy – to, co udało się nam w latach 1988-89, czy ciut później, w 1990-91, to był szczęśliwy zbieg okoliczności. Panowała wówczas sprzyjająca atmosfera międzynarodowa. Oczywiście były ofiary wśród Litwinów czy Łotyszy, w tym wśród moich przyjaciół. Nie wybuchła jednak narodowowyzwoleńcza wojna.

Ma pan na myśli konflikt typu abchaskiego, karabaskiego czy nadniestrzańskiego?

Tak. To przenośnia, ale osób, które zginęły na Łotwie w związku z walką o niepodległość, było mniej niż po większych zamieszkach po przegranym meczu piłkarskim.

Szczęście sprzyjało nam również później, gdy pieczę nad nami objęły kraje europejskie, czyli Dania, Szwecja i Norwegia. Pamiętam, że już w 1994 roku trwały pierwsze dyskusje o tym, iż musimy być kojarzeni z Europą, dołączyć do Unii Europejskiej – nawet jeśli wówczas takie pomysły wydawały się absolutnie nierealne. Te aspiracje bardzo zmieniły jednak sytuację wewnątrz kraju. Ciągłe słyszeliśmy głosy dobiegające z Zachodu: reformujcie sądy, prokuratury, samorzady. Od samego początku mieliśmy motywację do dalszego rozwoju.

To wszystko zakończyło się w 2004 roku po przystąpieniu Łotwy do UE. Pamiętam, jak rok wcześniej napisałem artykuł, w którym mówiłem: jestem przeciwnikiem przystąpienia do UE nie dlatego, że jestem eurosceptykiem, tylko dlatego, że teraz kraj straci swój główny cel. Od szesnastu lat jesteśmy w Europie i moim zdaniem cofamy się.

Skąd bierze się ten regres i czym się przejawia?

Nasze społeczeństwo nadal pozostaje na poziomie nastolatka. Wynika to z różnych okoliczności historycznych, często nie mamy na to wpływu. Estończykom się powiodło, ponieważ mają „kompleks prymusa”. Od samego początku wzorowali się na umownym starszym bracie, czyli Finlandii. Litwini są podobni do Łotyszy, ale mają mocny fundament historyczny w postaci Wielkiego Księstwa Litewskiego. U nas tego wszystkiego za-

brakło. Oczywiście mamy pewne osiągnięcia w różnych dziedzinach, na przykład w bankowości.

Unia Europejska to nie tylko sojusz ekonomiczny, jak go często traktują kraje Europy Środkowo-Wschodniej, ale również wspólnota wartości. Jaki stosunek wobec nich mają Łotysze?

W sprawie wartości nie ma zgody w samej Unii. W dużym uproszczeniu fundamenty Europy opierają się na nauce kościoła katolickiego. Przeciętny Łotysz świętuje Boże Narodzenie, ale proszę spytać go, ile czasu poświęca religii. Usłyszmy: „a co religia ma z tym wszystkim wspólnego?”.

Z mojego punktu widzenia Polacy, Węgrzy, Łotysze czy Litwini są Europejczykami bardziej niż mieszkańcy Holandii. Stosunek Łotyszy do UE jest trochę cyniczny. Bardziej przemawia do nich gospodarka. To różni nas od przeciętnego Estończyka.

Byłem przeciwnikiem przystąpienia do UE nie dlatego, że byłem eurosceptykiem, tylko dlatego, że obawiałem się, iż kraj straci swój główny cel.

Co ma pan na myśli?

Podam prosty przykład. Estończyk będzie jechał z taką prędkością, jaka jest dozwolona na danym odcinku drogi. Dla niego kodeks drogowy nie jest abstrakcją, rozumie, że przekroczenie limitu może być niebezpieczne. Mieszkaniec Łotwy będzie zaś chciał jechać szybciej, reguły są dla niego ważne, o ile nie dotyczą konkretnie jego osoby. To trwa od czasów sowieckich. Dla Łotysza władza nadal jest „narzucona”. Państwo łotewskie powstało niedawno, w 1918 roku. To młoda państwowość, myślenie obywatelskie nie ma u nas silnych korzeni. Ów problem pogłębił się w latach dziewięćdziesiątych, gdy zaczęliśmy tworzyć własny system państwowy i gdy popełniliśmy kilka zasadniczych błędów. Wynikały one nie ze złej woli, a z przypadku.

Co zrobiła lepiej Litwa? Po pierwsze, na Litwie połowę posłów wybiera się w okręgach jednomandatowych, co oznacza, że mieszkańcy Połagi, Birż lub Kupiszek posiadają swojego reprezentanta w parlamencie oraz mają poczucie, że konkretny polityk ich reprezentuje. Po drugie, Litwie udało się stworzyć system partyjny z prawdziwego zdarzenia, to znaczy taki, w którym ludzie łączą się w partie ze względu na wspólne wartości:

liberałowie są liberałami, konserwatyści konserwatystami i tak dalej. Liczebność ugrupowań jest proporcjonalna do liczby elektoratu.

| Na Łotwie jest inaczej?

U nas największa partia liczy dwa tysiące członków. Brałem udział w dyskusjach na temat systemu wyborczego. Byłem za systemem mieszanym – takim jak na Litwie, ale zwyciężył wielomandatowy. Uważano, że sprawi on, iż ludzie zaczną chętniej angażować się w działalność partii. Tak się nie stało. Poza tym różnice między łotewskimi ugrupowaniami są bardzo nieznaczące: nasza lewica różni się od prawicy tylko stosunkiem do Kremla. Lewica to w dużym stopniu Rosjanie, prawica – Łotysze.

Kilkanaście lat temu przeprowadzono gruntowne badania opinii publicznej – spytano obywateli Łotwy, kto ma odpowiadać za szkoły, kto ma opłacać zasiłki dla bezrobotnych i tak dalej. Okazało się, że osiemdziesiąt sześć procent etnicznych Łotyszy jest nastawionych ultralewicowo, czyli są za jak największym interwencjonizmem państwowym.

| A łotewscy Rosjanie?

Oni pod względem gospodarczym mieli poglądy raczej liberalne.

| Dlaczego?

Wpływ na to mogła mieć sytuacja, która zapanowała po odrodzeniu niepodległości. Bardzo często z powodu pochodzenia nie otrzymywali oni obywatelstwa i nie mogli liczyć na państwo. Musieli radzić sobie sami. Zresztą dotyczy to nie tylko spraw gospodarczych. Rosjanie okazali się też bardziej otwarci na przykład na prawa osób LGBT. Wyniki badania wywołały wówczas spory szok wśród łotewskich politologów.

Mówił pan o problemach z otrzymaniem obywatelstwa. Na początku lat dziewięćdziesiątych Łotwa przyjęła Ustawę o obywatelstwie. Określała ona trudne dla wielu osób do spełnienia warunki, wymagane do otrzymania obywatelstwa (np. znajomość języka łotewskiego). W rezultacie powstała duża grupa bezpaństwowców, głównie Rosjan. Teraz ta liczba znacznie się zmniejszyła. Czy Ustawa o obywatelstwie się sprawdziła?

Oczywiście, że nie, to było bardzo naiwne podejście. Zakładano, że dzięki takim wymogom Rosjanie albo częściowo opuszczą Łotwę, albo zintegrują się z resztą społeczeństwa. Uciekliśmy od Związku Radzieckiego, który nas

źle traktował, a później zaczęliśmy podobnie traktować część naszych mieszkańców.

Nie był to jedyny błąd. Lubimy mówić o przywiązaniu do tradycji, a nie zrobiliśmy nic w sprawie zachowania kultury Liwów. Liwowie to grupa etniczna mieszkająca w Kurlandii. Czy wie pan, że niedawno zmarł ostatni człowiek, dla którego liwski był językiem ojczystym? I ten fakt został ledwie zauważony.

Uciekliśmy od Związku Radzieckiego, który źle nas traktował, a później zaczęliśmy podobnie traktować część naszych mieszkańców.

Po 2014 roku i aneksji Krymu wszystkie kraje bałtyckie ogarnął niepokój. Bano się, że Rosja wykorzysta mniejszości narodowe, aby zdestabilizować sytuację na Litwie, Łotwie czy w Estonii. Na ile te obawy miały oparcie w faktach?

Pojawiły się różne prowokacje. Mówiono na przykład o Łatgalskiej Republice Ludowej, jednak miejscowi Rosjanie szybko się od takich historii odcięli. Sądzę, że postąpiono tak nie z powodu strachu, tylko dlatego, że faktycznie oni czują się jak u siebie. Łotysze do końca nie uświadomili sobie tego faktu. Z drugiej strony warto podkreślić, że strona łotewska nie zezwoliła wówczas na radykalne działania względem miejscowych Rosjan – a takie pomysły również się pojawiały.

Niezależnie od napięć na linii Ryga–Moskwa rosyjski biznes już od 1991 roku sporo inwestował na Łotwie. Dobrym przykładem jest Jurmała, która do niedawna pełniła rolę rosyjskiego kurortu. Jakie miejsce dzisiaj zajmuje Rosja w geopolitycznej układance Łotwy?

Faktycznie, do 2014 roku działał program mający przyciągać rosyjski kapitał. Wielu Rosjan – nastawionych opozycyjnie do Kremla, ale nie tylko – miało tutaj swoje nieruchomości, działały banki z rosyjskim kapitałem. Była to pewna forma gwarancji bezpieczeństwa. Łotwa była swoistą Szwajcarią, na zasadzie „dookoła wojna, ale tutaj są ich pieniądze”, bo nikt nie chce tracić własnych środków. Owe finanse stanowiły jednak również narzędzie wpływu na Łotwę, w końcu się ich pozbyto i dlatego sądzą, że Rosja obecnie nie ma większych instrumentów przymusu, których mogłaby użyć, by oddziaływać na sytuację wewnątrz kraju.

Czy obawy, które żywiono po 2014 roku, nie były zasadne?

Jak najbardziej. Chodzi o skalę. Dlaczego bardzo często płynąca z Rosji antyłotewska propaganda nie znajdowała w naszym kraju posłuchu? Gdyż na

ogół była uprawiana w sposób bardzo prymitywny. Propaganda tylko wtedy znajduje odbiorcę, kiedy mówi o czymś, co jest dla niego istotne. Takim tematem jest na przykład sytuacja społeczna, a nie trąbienie o marszach weteranów łotewskiego SS. Kiedy kilku starszków mówi, że walczyli w tej formacji o wolność Łotwy, a paru ich przeciwników krzyczy o nadchodzącym faszyzmie, to nikt trzeźwo myślący nie dostrzeże w tym zagrożenia.

Sądzę, że rosyjscy propagandyści rozumieli też, że nie mogą grać kartą Rosjan na Łotwie, ponieważ to mniejszość narodowa, stąd reakcja na taką propagandę mogłaby pojawić się w samej Rosji, która jest krajem wielokulturowym. Moskwa może jeszcze głośniej mówić o prawach Rosjan na Łotwie, ale wówczas o swoich prawach mogą przypomnieć rosyjscy Tatarzy czy Kałmucy. W większości przypadków antyłotewskie działania – oskarżenia o dyskryminację Rosjan czy propagowanie nazizmu – były kierowane na rosyjski rynek wewnętrzny.

W Unii Europejskiej trwają dyskusje na temat wspólnej przyszłości: czy UE powinna zmieniać się w federację lub konfederację, czy raczej lepiej, by sojuszem niepodległych państw. Jak to widzi Łotwa?

Duży wpływ na rozmowy o przyszłości Unii będzie miała pandemia koronawirusa. Debaty o Brexicie z lat 2017-2019 odeszły do historii, zdezaktualizowały się. Dotychczas na Łotwie panowała zasada: z Brukseli brać, ile można, oddać w zamian jak najmniej. Po pandemii wszyscy będziemy musieli gruntownie przemyśleć nasze stanowiska. Unia Europejska powstała jako przeciwwaga Europy względem USA i Rosji. Teraz sytuacja kardynalnie się zmieniła. Ameryka nie jest już taka sama jak wcześniej, wciąż nie wiemy też, jaką rolę będzie odgrywała Wielka Brytania. Dużą niewiadomą pozostaje również Rosja.

Łotwa jest dziś bardziej zajęta sprawami doraźnymi niż strategicznymi. Zresztą pod względem celów strategicznych Łotwa zawsze miała gorzej niż Litwa, która od dekady pozycjonuje się jako pełnoprawny gracz na terytorium byłego ZSRR. Mocno zaangażowała się w normalizację sytuacji w Ukrainie, a Ukraina to pierwsza liga światowej polityki. Może Litwa czuje się tutaj pewnie, bo odczuwa spuściznę po Wielkim Księstwie Litewskim? Z grubsza, Ukraina i Białoruś to jej były terytoria. Litwa stała się pełnoprawnym graczem na równi z Polską, Rosją, Niemcami i Francją. Łotwa takiego miejsca geopolitycznego nie odnalazła.

Chyba najbardziej naturalne byłoby przekształcenie Łotwy w most między Rosją a Zachodem. Tylko szkopał w tym, że i Bruksela, i Moskwa wolą kontaktować się ze sobą bez pośredników. Poza tym same łotewskie elity się na to nie zdecydowały, ponieważ z dużą dozą nieufności traktowały wszystko, co rosyjskie. Idea pomostu się nie ziściła.



Litwa nie jest po radziecka

Z Neriją Putinaitė,
litewską filozofką i politolożką,
rozmawia Dominik Wilczewski

Nerija Putinaite – litewska filozofka i politolożka. Pracuje w Instytucie Stosunków Międzynarodowych i Nauk Politycznych Uniwersytetu Wileńskiego na stanowisku docenta, zajmuje się między innymi badaniami nad tożsamością i litewską myślą polityczną. W latach 2008-2012 była wiceministrem edukacji i nauki Litwy.

Dominik Wilczewski – dziennikarz i publicysta. Zajmuje się tematyką krajów bałtyckich. Redaktor portalu przegladbaaltycki.pl, w latach 2019-2020 był starszym analitykiem w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie. Publikował między innymi w „Nowej Europie Wschodniej”, „Tygodniku Powszechnym” i miesięczniku „Pismo. Magazyn Opinii”.

DOMINIK WILCZEWSKI: Choć od upadku Związku Radzieckiego mija już trzydzieści lat, to niektóre media zagraniczne, głównie zachodnie, nadal piszą o krajach „poradzieckich”. Wydaje mi się, że dla Litwinów to obraźliwe określenie.

NERIJA PUTINAITĖ: Litwini zaczęli postrzegać je w ten sposób szczególnie w ciągu dwóch ostatnich lat. Myślę, że wiąże się to z jubileuszami, które w tym czasie świętowaliśmy, zwłaszcza z trzydziestolecie niepodległości [w 2020 roku – przyp. aut.].

W ciągu tych trzydziestu lat na Litwie zaszło wiele procesów, dokonały się ogromne zmiany gospodarcze i społeczne, staliśmy się pełnoprawnym członkiem UE i NATO. Tymczasem etykieta kraju „poradzieckiego” zdaje się sugerować, że wciąż jesteśmy jakąś kolonią Moskwy. Jest to tym bardziej irytujące, że sama Rosja widzi w nas utraconą prowincję, stąd to zachodnie spojrzenie współgra z rosyjskim. Co w ogóle znaczy „obszar poradziecki”? Czy Stany Zjednoczone powinny mówić o sobie, że są „pobrytyjskie”?

Czy takie etykiety biorą się z nieumiejętności Zachodu, by poznać i zrozumieć lepiej ten region? Czy może to kraje regionu, w tym Litwa, nie dołożyły starań, by to postrzeżenie zmienić?

Termin ten wymyślono na Zachodzie pod koniec ubiegłego wieku i nie sądzę, żeby dziś kryła się w nim konkretna treść – raczej stosuje się go automatycznie. Z drugiej strony faktycznie zarówno Litwa, jak i inne kraje – na przykład Łotwa czy Estonia – nie zrobiły wystarczająco dużo, by to postrzeżenie zmienić. O tym, że nie chcemy być tak nazywani, trzeba

mówić głośno. Jeśli nasi politycy czy publicyści będą to komunikować, wydaje mi się, że Zachód w końcu zrezygnuje z tego określenia.

Wydaje się, że Litwini nie przepadają również za terminami „Wschód” czy „Europa Wschodnia”, gdy używa się ich w odniesieniu do Litwy. Czy to dlatego, że „Wschód” kojarzy się z Rosją?

To specyficzny problem. Po rozpadzie Związku Radzieckiego nasza orientacja międzynarodowa była niejednoznaczna. Bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości spoglądaliśmy raczej na Północ. Na litewską tożsamość

Po rozpadzie Związku Radzieckiego nasza orientacja międzynarodowa była niejednoznaczna. Bezpośrednio po odzyskaniu niepodległości spoglądaliśmy raczej na Północ.

duży wpływ miało zaangażowanie krajów nordyckich, które występowały w roli przedstawicieli idei europejskich w naszym regionie. Później – wraz z tym, jak Rosja stawała się coraz bardziej agresywna, a jeszcze przed aneksją części Gruzji – Litwa zaczęła postrzegać siebie jako część Europy Środkowej, akcentowano potrzebę pogłębienia relacji z Polską. Postulowano także większe zaangażowanie

w naszym wschodnim sąsiedztwie, aby przyciągnąć Białoruś czy Ukrainę do Unii Europejskiej, odciągając je jednocześnie od Rosji.

W ostatnich latach Litwa znów coraz bardziej patrzy na Północ, próbuje balansować między orientacją środkowoeuropejską i północną. Kulturowo bliżej nam do Europy Środkowej, ale jednocześnie jako społeczeństwo chcielibyśmy być bardziej północnoeuropejscy. „Wschód”, który w innych kontekstach jest pojęciem neutralnym, na Litwie kojarzy się z Rosją i „przestrzenią sowiecką”.

Orientacja północnoeuropejska i koncepcja „Bałtoskandii” narodziła się na Litwie już przed drugą wojną światową. Skąd bierze się jej popularność? Czy z faktu, że kraje nordyckie kojarzą się z wysokimi standardami i poziomem życia, państwem dobrobytu?

Tak, a dzisiaj dochodzą do tego też wspólne projekty energetyczne. Wiąże się to też nie tyle z tożsamością kulturową, co z aspiracjami gospodarczymi. Można powiedzieć, że znajdujemy się w nordyckim kręgu finansowym, nasze banki należą do kapitału z krajów nordyckich. Mówimy więc nie tylko o tożsamości, ale i o kwestiach praktycznych.

W ostatnich latach pojawił się ponadto ważny czynnik: po dojściu Viktora Orbána do władzy na Węgrzech, zmianach politycznych w Polsce oraz pojawieniu się idei antyeuropejskich w Europie Środkowej na Litwie pogłębiło się poczucie odrębności od Budapesztu i Warszawy. Coraz więcej osób myśli, że jesteśmy inni, bo cenimy Unię Europejską jako bardzo ważne źródło naszego bezpieczeństwa i dobrobytu. Wydaje mi się więc, że dziś na naszą orientację wpływa nie tylko pozytywne nastawienie wobec Północy, ale także negatywne w stosunku do szeregu idei w Europie Środkowej.

Czy Litwini są zadowoleni z roli, jaką ich kraj odgrywa na arenie międzynarodowej?

Jasno definiujemy naszą rolę, ale spektrum litewskiej aktywności jest bardzo wąskie. Litwa różni się pod tym względem na przykład od Łotwy, która widzi siebie jako aktora mogącego odgrywać rolę w polityce globalnej. Litwa z kolei postrzega siebie przede wszystkim jako państwo, które należy do Unii Europejskiej i leży w sąsiedztwie Rosji. Uderza mnie, że nie interesujemy się na przykład południowym wymiarem Europejskiej Polityki Sąsiedztwa czy innymi problemami ogólnoeuropejskimi, a zamiast tego jesteśmy zawsze skoncentrowani na sobie.

Na Litwie toczą się dyskusje o roli waszego kraju w świecie?

Tak. Najczęściej dotyczą one tego, jak ulepszyć naszą politykę wschodnią albo co zrobić, żeby Unia Europejska nie stała się przeciwwagą dla NATO. Toczy się też dyskusja o tym, czy rzeczywiście robimy, co w naszej mocy, żeby do Unii Europejskiej i świata demokratycznego zbliżyć Ukrainę, Mołdawię, Gruzję, może nawet Armenię i Białoruś. Zawsze centralne miejsce w debatach zajmuje jednak nie gospodarka, a bezpieczeństwo. Politycy łotewscy czy estońscy są dużo bardziej skupieni na problemach ekonomicznych lub międzynarodowych.

Litwa widzi siebie w roli adwokata takich krajów jak Ukraina, Mołdawia czy Gruzja. Czy inne państwa członkowskie rozumieją stanowisko Litwy w tej sprawie?

Niektóre kraje, jak Polska czy Estonia, a także do pewnego stopnia Łotwa, podzielają litewskie stanowisko. Również Niemcy rozumieją nasze zainteresowanie kwestią Partnerstwa Wschodniego. To pomaga w utrzymaniu tych spraw w unijnej agendzie.

Mówimy o działaniach politycznych, ale społeczeństwo także wspiera sąsiadów na wschodzie. I gdy chodziło o Ukrainę w 2014 roku, i w przypadku Białorusi w 2020 roku widzieliśmy ogromne wsparcie ze strony Litwinów dla demokratycznych zrywów.

To wynika z naszej tożsamości oraz ze świadomości wspólnej historii Litwy, Białorusi i Ukrainy datowanej od czasów wielkiego księcia Witolda. O litewskim zaangażowaniu decydują także pewne doświadczenia, nazwijmy je – jak by powiedzieli niektórzy – „poradzieckie”. Czujemy, że rozumiemy Ukraińców czy Białorusinów lepiej, niż rozumieją ich inne narody europejskie, łączy nas kulturowe powinowactwo. Potrafimy rozpoznać propagandę i manipulację, która wciąż jest uprawiana na Białorusi. Być może wpływ ma na to także nasze własne doświadczenie z początku lat dziewięćdziesiątych i to, jak trudno było przekonać społeczność międzynarodową, że niepodległościowe aspiracje Litwy są uzasadnione.

Interesujące jest coś jeszcze. Przez ostatnie dwie dekady w litewskich mediach zapomniano o Białorusi, tymczasem ostatnio Litwini odkryli ją na nowo i to raczej z ludzkiego, a nie politycznego punktu widzenia. Na Litwę przyjeżdża coraz więcej Białorusinów, widzimy, jak bardzo są do nas podobni i w ich doświadczeniach możemy rozpoznać własne.

Litwa i Białoruś startowały w 1991 roku z tego samego miejsca, ale później podążyły innymi ścieżkami.

Nam udało się zbudować demokratyczne państwo, a Białorusinom nie. To największa różnica.

Myślę, że największym sukcesem Litwinów jest to, że nie jesteśmy jako społeczeństwo rozczarowani drogą, którą wybraliśmy. Na początku niepodległości, gdy w całym kraju panował dziki kapitalizm, wielu ludzi mogło czuć rozgoryczenie. Ich życie legło w gruzach. Dziś nie mówimy wiele o tej traumie poradzieckiej transformacji. Myślę, że przyjdzie na to czas. Trzeba też pamiętać, że litewski ruch niepodległościowy na początku lat dziewięćdziesiątych był nie tyle demokratyczny, co narodowy.

Obecnie, po trzydziestu latach, poczucie optymizmu powoli rośnie. Jednocześnie wydaje mi się, że Litwini jeszcze nie rozumieją w pełni prawdziwej wartości demokracji, a sama litewska demokracja jest bardzo krucha. Silną demo-

Litwini jeszcze nie rozumieją w pełni wartości demokracji, a sama litewska demokracja jest bardzo krucha.

krację można zbudować tylko w społeczeństwie, które posiada demokratyczne nawyki, w którym istnieje odpowiedni poziom wykształcenia; w kraju, w którym rozwinięta jest komunikacja, a politycy nie są skorumpowani. Żeby funkcjonowała demokracja, nie wystarczy przyjąć ustawy czy zbudować instytucje, jak rząd i parlament. Potrzebne jest też społeczeństwo działające w demokratyczny sposób. Tymczasem demokratyczne nawyki rozwijają się w litewskim społeczeństwie dużo wolniej niż prawa i instytucje.

Czego brakuje na Litwie, aby takie społeczeństwo powstało?

Nadal obecne są pewne charakterystyczne dla wszystkich społeczeństw postautorytarnych cechy: utożsamianie sprawujących władzę z państwem, tęsknota za protekcyjnym stylem rządzenia i silnymi, wręcz autorytarnymi politykami. Ponadto nie próbuje się stworzyć reguł, które zaakceptowałby ogół społeczeństwa, a zamiast tego podejmuje się starania, aby ominąć reguły już obowiązujące. Panuje duża obustronna nieufność między sektorem prywatnym i publicznym, a także silna biurokracja.

W jakich sferach życia społecznego i politycznego na Litwie można doszukiwać się pozostałości po okresie radzieckim?

Gdybyśmy mieli szukać jakichś radzieckich reliktyw, to byłyby to właśnie biurokracja, która bez reform może przetrwać nawet największą rewolucję. To najpoważniejszy problem i największa przyczyna niezadowolenia Litwinów. Urzędnik odnosi się do obywatela nie jak ktoś, kto służy społeczeństwu, ale jak ktoś bardzo ważny, kto ma władzę nad niższą kastą. Wśród ministerstw radykalnie przekształcono tylko trzy: obrony, spraw zagranicznych i finansów. Pozostałe nie przeszły wewnętrznych reform.

Mówiła pani o rosnącym poczuciu optymizmu. W badaniach Eurobarometru z 2019 roku dziewięćdziesiąt procent Litwinów stwierdziło, że skorzystali na wejściu do Unii Europejskiej. To ogromna liczba, jeśli porównać ją z nastrojami w Europie Zachodniej.

Przed wydarzeniami w Ukrainie i rosyjską inwazją w 2014 roku te liczby i nastroje euroentuzjastyczne były dużo niższe, później szybko wzrosły. Nie jest tak, że wszystkim Litwinom podoba się to, co dzieje się w Unii – jej kształt polityczny czy administracyjny. Unia Europejska jest dziś postrzegana na Litwie jako źródło dobrobytu, ale przede wszystkim jako gwarant

Eurosceptycyzm na Litwie nie przynosi politycznych korzyści.

bezpieczeństwa. Bez niej bylibyśmy pozostawieni sami sobie, znaleźlibyśmy się w stanie permanentnego zagrożenia ze strony sąsiadów. Jest w tym także doświadczenie wyniesione z okresu międzywojennego, gdy rzeczywiście bylibyśmy osamotnieni.

W litewskiej polityce nie widać żadnej poważnej eurosceptycznej siły, zwłaszcza w porównaniu z takimi krajami jak Francja czy Włochy. Ale czy to się może zmienić?

Oczywiście. Zdarzają się eurosceptycy wśród intelektualistów, a w ostatnich wyborach startowały partie nacjonalistyczne, jednak nie zdobyły zbyt dużego poparcia i nie mają swoich reprezentantów w parlamencie. Litewski Związek Rolników i Zielonych [rządzący w latach 2016-2020 – przyp. aut.] przed wyborami w 2016 roku od czasu do czasu głosił nieco antyeuropejskie idee, ale kiedy doszedł do władzy, nie podjął żadnych antybrukselskich działań.

Myślę, że wynika to z nastawienia społeczeństwa – eurosceptycyzm na Litwie nie przynosi politycznych korzyści. Poza tym jeśli obywatele uważają, że Unia Europejska jest gwarantem bezpieczeństwa, to występowanie przeciwko niej wiąże się dla polityka z ryzykiem, że otrzyma prorosyjską łatkę – a żaden z litewskich rządzących by tego nie chciał.



Mamy ludzi i lasy

Z Kristiną Kallas,
estońską politolożką i historyczką,
rozmawia Michał Potocki

Kristina Kallas – estońska politolożka i historyczka. Absolwentka historii na Uniwersytecie w Tartu i Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie, doktor nauk politycznych na Uniwersytecie w Tartu. Specjalistka w dziedzinie integracji społecznej, problemów ludności rosyjskojęzycznej, migracji i praw mniejszości narodowych. Była dyrektorem narwiańskiego wydziału Uniwersytetu w Tartu, była przewodniczącą Estońskiego Stowarzyszenia Uchodźców, liderką pozaparlamentarnej partii Estonia 200.

Michał Potocki – dziennikarz i reporter, szef działu Opinie w „Dzienniku Gazecie Prawnej”. Zajmuje się tematyką wschodnioeuropejską. Współautor książek *Wilki żyją poza prawem. Jak Janukowycz przegrał Ukrainę*, *Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki* i *Czarne złoto. Wojny o węgiel z Donbasu*. Laureat nagród Belarus in Focus 2012, Grand Press 2018 w kategorii dziennikarstwo specjalistyczne i Nagrody imienia Dariusza Fikusa 2019.

MICHAŁ POTOCKI: Jakie jest pani najwyraźniejsze wspomnienie z czasów rozpadu ZSRR?

KRISTINA KALLAS: Byłam nastolatką, kiedy to wszystko się działo. Mieszkałam w Kiviõli w północno-wschodniej Estonii, nieopodal rosyjskiej granicy. W moim otoczeniu było wielu Rosjan, sama pochodzę z rodziny w połowie rosyjskiej, w połowie estońskiej. W tamtym czasie byłam jeszcze małą, w wydarzeniach uczestniczyłam jako obserwator, ale wiele zapamiętałam: w 1989 roku stałyśmy z ciotką w bałtyckim łańcuchu wolności, starsi koledzy ze szkoły nosili koszulki z wypisanymi hasłami protestu, odmawiali wstępowania do pionierów i Komsomołu.

Kiedy w sierpniu 1991 roku zaczął się pucz Giennadija Janajewa, akurat wróciliśmy z wakacji w Rosji. Spędziliśmy je u rodziny w Jarosławiu nad Wołgą. Pucz zaczął się dzień po naszym powrocie. Miałam wtedy piętnaście lat. Pamiętam, jak mama powiedziała, że „dzięki Bogu udało nam się stamtąd wrócić”. Uważała, że w Estonii jesteśmy bezpieczni. Kilka dni później pojawiły się plotki, że przywódcy puczu chcą wysłać czołgi na kraje bałtyckie, żeby ponownie je podporządkować. Estonia, Litwa i Łotwa już wcześniej ogłosiły niepodległość. Pamiętam swój strach. Czołgi, które przekroczyłyby rzekę Narwę w drodze do Tallinna, musiałyby przejechać przez nasze miasteczko. Następnego dnia mer Leningradu Anatolij Sobczak sprzeciwił się puczowi i zapowiedział, że zablokuje wyjazdy z koszar. Trochę mnie to uspokoiło.

Kiviõli było miastem w dużej mierze rosyjskim. W pani otoczeniu było wielu Rosjan, miała pani rosyjskich przyjaciół i znajomych. Co oni wtedy myśleli? Jaka była różnica między nadziejami i obawami przeciętnego Estończyka a nadziejami i obawami przeciętnego estońskiego Rosjanina?

Oczywiście istniały różnice. Estończycy byli entuzjastycznie nastawieni i pokładali ogromne nadzieje w przyszłości. Wszyscy byli podekscytowani i gotowi na wiele poświęceń dla odrodzonego kraju. Uczucia Rosjan były tymczasem mieszane. Byli tacy, którym udzielała się optymistyczna atmosfera panująca wśród Estończyków – dotyczyło to zwłaszcza tych, którzy sami byli nastawieni opozycyjnie do Związku Radzieckiego i widzieli, w jaki chaos się zamieniał. Większość Rosjan jednak po prostu czekała na to, co się wydarzy. Nie mieli pojęcia, co to wszystko właściwie znaczy. Wielu nie miało emocjonalnego stosunku do Estonii, więc zachowywali się bardziej jak świadkowie wydarzeń, gapie. Oczywiście była też część Rosjan, którzy działali przeciwko nam. To głównie dyrektorzy fabryk albo wysocy urzędnicy – oni w razie zmiany władzy mieli najwięcej do stracenia.

Obawy po obu stronach były naturalne. Estończycy mogli się obawiać, że po sukcesie puczu Sowietów wrócą i zemszczą się za separatyzm, a miejscowi Rosjanie, że niepodległa Estonia może się na nich mścić za okupację i agresję.

Nie, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Rosjanie nie obawiali się rewanzu, strach przed zemstą pojawił się dopiero później. Część z nich nie wiedziała, co ta Estonia właściwie znaczy, bo wielu z nich mentalnie wcale nie żyło w Estonii, tylko w Związku Radzieckim. Inaczej widzieli to Estończycy. Nawet na przykładzie mojej rodziny mogę powiedzieć, że zawsze czuli oni intuicyjnie, że Estonia i ZSRR to dwa różne terytoria.

Mówi pani, że strach przyszedł do Rosjan później – był więc efektem polityki Estonii czy propagandy płynącej z Rosji?

Było to połączenie obu tych czynników. Nawet ci, którzy pozytywnie odnosili się do niepodległej Estonii, czuli duże rozczarowanie ustawą o cudzoziemcach z 1993 roku. Stawiała ona wysokie wymagania miejscowym Rosjanom, którzy chcieli zostać obywatelami Estonii. Wtedy pojawił się strach, że Rosjanie mogą zostać wyrzuceni z kraju i na tej nucie grała rosyjska propaganda.

Jak pani ocenia tę sytuację po trzydziestu latach? Czy talliński rząd mógł wtedy zrobić więcej dla integracji Rosjan?

Nie sądzę. Trzeba wziąć pod uwagę sytuację związaną z bezpieczeństwem, a ta była podobna do dzisiejszej. Rosję trudno uznać za kraj przyjazny, a ponieważ nie można ufać Rosji, trzeba ostrożnie podchodzić do przyznawania praw ludziom, których Moskwa może wykorzystać przeciwko interesom państwa. To problem nie tylko estoński, ale i wielu innych państw Europy Środkowej i Wschodniej. One też z ostrożnością podchodzą do mniejszości powiązanych kulturowo czy językowo z sąsiadem, który dawniej je uciskał, a teraz zachowuje się wrogo, kwestionuje ich wciąż kruchą niepodległość. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie powiedziałabym, że zrobiliśmy coś nie tak. Przeciwnie: uważam, że świetnie sobie poradziliśmy. Powtórka z Abchazji, Donbasu czy Naddniestrza była przecież trzydzieści lat temu możliwa.

Świetnie sobie poradziliśmy. Powtórka z Abchazji, Donbasu czy Naddniestrza była trzydzieści lat temu możliwa.

Rzeczywiście była realna?

Tak, w 1993 roku mieliśmy nawet referendum w sprawie autonomii w Narwie i Sillamäe, gdzie Rosjanie stanowili dziewięćdziesiąt procent ludności. Nie było przy tym jasne, co konkretnie mają na myśli ludzie żądający tej autonomii. Uczestnicy referendum ją poparli, ale sąd uznał głosowanie za nielegalne, ponieważ konstytucja pozwalała jedynie na ogólnonarodowy, a nie lokalny plebiscyt. Poza tym ludzie, którzy wzięli w nim udział, nie byli obywatelami Estonii i nie mieli praw wyborczych.

Był to groźny moment i relacje między Narwą i Sillamäe z jednej strony a estońskim rządem z drugiej były bardzo napięte. Mogły spełnić się najczarniejsze scenariusze. Także dlatego uważam, że estońska historia integracji mniejszości rosyjskiej jest historią sukcesu, choć zdaję sobie sprawę, że wiele jest jeszcze do zrobienia.

Pamiętam z własnego doświadczenia, że dopiero wejście Polski do NATO dało mi poczucie bezpieczeństwa, a jelicynowska Rosja była wówczas przecież zarówno bardziej skupiona na sobie, jak i przyjaźniejsza wobec Zachodu. Strzelam, że wejście Estonii do NATO w 2004 roku wywołało podobne refleksje.

W sferze bezpieczeństwa też odnieśliśmy sukces. Nie mówię tylko o dwóch procentach PKB przeznaczonych na obronność, za które można kupić czołgi, ale również o pracy nad poczuciem bezpieczeństwa w głowach i o budowie sojuszy.

Rosja po 1991 roku zmieniała się i zwłaszcza podczas drugiej kadencji Władimira Putina zaczęła odgrywać dużo bardziej destrukcyjną rolę w regionie. W jej interesie leży wewnętrzna destabilizacja sąsiadów, tak byśmy przestali być godnymi zaufania sojusznikami Zachodu. Uczynienie sąsiadów słabymi ułatwia rządzenie nimi. W tym sensie Estonia i inne państwa bałtyckie dały sobie radę. Zwłaszcza gdybyśmy porównali je z Ukrainą, którą udało się Rosji zdestabilizować. Po tym, co stało się z Krymem, ten temat wrócił i zagraniczni dziennikarze znów zaczęli się interesować, jak Estonia i Łotwa radzą sobie z kontrolą własnej populacji i czy Rosja nie wykorzysta ich słowiańskich mniejszości. W prasie pojawiają się czasem sensacyjne historie, ale sytuacja pozostała stabilna.

Sam pamiętam prognozy, że po Krymie i Donbasie Estonia będzie następną. Ale pamiętam też opinię, którą usłyszałem wtedy na Łotwie, że po ćwierćwieczu życia w wolnym kraju bałtyccy Rosjanie może i czują się do pewnego stopnia dyskryminowani, ale też mają więcej swobody i są bogatsi niż Rosjanie z Rosji. Czy gospodarczy sukces Estonii pomógł miejscowym Rosjanom zachować się lojalnie?

Tak. Zwłaszcza, że chodzi nie tylko o sukces gospodarczy, ale też osiągnięcia w dziedzinie państwowotwórczej. Na pewno mamy jeszcze coś do zrobienia, by wszyscy poczuli się częścią estońskiego społeczeństwa, ale jeśli mowa o budowie państwa, mamy się czym pochwalić. Posiadamy

Posiadamy jeden z najlepszych systemów edukacji na świecie: nawet rosyjskie szkoły w Estonii radzą sobie dużo lepiej niż szkoły w Rosji.

jeden z najlepszych systemów edukacji na świecie, co potwierdzają wyniki testów PISA. Nawet rosyjskie szkoły w Estonii radzą sobie dużo lepiej niż szkoły w Rosji. Mamy całkiem sprawny system opieki zdrowotnej, biorąc pod uwagę, ile pieniędzy jesteśmy w stanie na nią wydać, a daleko nam choćby do zasobności Finów. Wypadamy korzystnie, porównując się do Rosji w wielu sferach: od stanu dróg przez poziom przedszkoli,

przychodni, mieszkalnictwa aż po dowolne usługi publiczne. Do tego możemy swobodnie podróżować po całej Europie, nasze dzieci mają dostęp

do europejskich uczelni, nasze pensje i emerytury pozwalają przeżyć może nie na poziomie Europy Zachodniej, ale są nieporównywalnie wyższe niż rosyjskie. Nauczyciele zarabiają dużo, w Estonii minimalny poziom ich pensji to tysiąc trzysta euro, a nie dwieście pięćdziesiąt, jak w przypadku ich rosyjskich kolegów i koleżanek. Estońscy Rosjanie są zadowoleni, że są beneficjentami tego sukcesu. Może nie ufają państwu w stu procentach, bo w latach dziewięćdziesiątych dało ono im niekiedy odczuć, że nie jest zbyt przyjazne i nie dało im obywatelstwa, wymagając nauczania się języka estońskiego; dziś korzystają jednak z tych samych usług publicznych, co etniczni Estończycy.

Szwajcarski politolog Andreas Wimmer w 2019 roku wydał książkę w której tłumaczy, dlaczego jedno państwo wielonarodowe odnosi sukces, a inne nie. Podał trzy przesłanki sukcesu. Jedną z nich był poziom usług publicznych. Państwa, które nie są w stanie ich zapewnić, przegrywają. Dobrym przykładem jest Ukraina, która nie zdołała zbudować systemu porządných usług publicznych, nie mówiąc o tamtejszym poziomie korupcji. Taka sytuacja sprawia, że państwo staje się bardzo wrażliwe na konflikty etniczne.

Nie należy porównywać Estonii do zachodnioeuropejskich demokracji, bo działamy w zupełnie innym otoczeniu geopolitycznym.

Z drugiej strony, kiedy spojrzysz się na skład rządu Estonii, nie widać tam ani jednego rosyjskobrzmiącego nazwiska. W wielu państwach choćby ze względu na poprawność polityczną wypada mieć jednego ministra wywodzącego się z mniejszości.

Nie należy porównywać Estonii do zachodnioeuropejskich demokracji, bo działamy w zupełnie innym otoczeniu geopolitycznym. Umieszczenie Rosjanina w rządzie Estonii rodzi dziesięć razy więcej wyzwań z zakresu bezpieczeństwa niż umieszczenie Frankokanadyjczyka w rządzie Kanady. Nie mówię tego po to, by oskarżać Rosjan jako grupę, ale trzeba się liczyć z tym, że częścią strategii państwa rosyjskiego jest wykorzystywanie ludności rosyjskojęzycznej do realizacji własnych celów, a to powoduje określone ryzyka. Nie znaczy to jednak, że z założenia w rządzie Estonii nie powinno być Rosjan.

Ten dystans jest zrozumiały, biorąc pod uwagę skandale szpiegowskie, które czasem wybuchają w Estonii.

Tak, przy czym Rosjanie potrafili angażować do swoich celów także etnicznych Estończyków. W momencie, w którym rosyjska mniejszość nie będzie stanowić żadnego istotnego wyzwania dla naszego bezpieczeństwa, będzie można uznać, że rywalizacja z Rosją została wygrana.

| Zbliżacie się do tego momentu czy oddalacie od niego?

Zbliżamy. Zresztą zdarzały się już rządy z Rosjanami w składzie. Co raz częściej młodzi Rosjanie zaczynają przejawiać polityczną aktywność w różnych partiach, nie tylko w tej tradycyjnie reprezentującej ich interesy. Ta zmiana już zachodzi. Młode pokolenie, urodzone w niepodległej Estonii, ma już trzydzieści lat i bardzo się różni od swoich rodziców. Są Europejczykami, Estończykami, nie pamiętają Związku Radzieckiego, nie mają żadnych związków z Rosją, chociaż zapewne ma ona dla nich znaczenie kulturowe czy historyczne. Sama mam przodków w Rosji, rozumiem język rosyjski, mogę śledzić media, youtuberów i muzykę popularną, ale na tym koniec. Nie obchodzi mnie życie w Rosji, bo to nie jest mój kraj. To wielka różnica między młodym pokoleniem estońskich Rosjan a ich rodzicami i dziadkami, którzy mentalnie nie oderwali się od Rosji.

To ciekawe, bo podobny proces ma miejsce z Polakami na Litwie. Głosują oni już nie tylko na Akcję Wyborczą Polaków na Litwie – nawiasem mówiąc, partię mocno zsowietyzowaną – a niedawno Polka została ministrem sprawiedliwości. Litewscy publicyści zastanawiają się też, czy nie wkroczyli już w erę, w której Polacy zaczną głosować na partie litewskie, a te z kolei otworzą się na Polaków. Może po tych trzydziestu latach etniczność przestaje się liczyć?

Nie tyle przestaje się liczyć, co zmienia się sposób jej widzenia. Rosjanie, którzy przybyli tu w czasach sowieckich, nigdy nie postrzegali siebie jako mniejszość narodową, bo byli klasą rządzącą Związkiem Radzieckim, a Estończyków traktowali jako kogoś, kto po prostu tu mieszka. Młodsze pokolenie Rosjan tymczasem wie, że jest mniejszością. Ma prawo do rosyjskości, ale ma też obowiązek integracji i bycia częścią społeczeństwa, w którym żyje.

Poruszyliśmy już temat estońskiej gospodarki. Po Czechach, Słowenii i Litwie Estonia to państwo o najwyższym poziomie PKB na osobę wśród wszystkich krajów postkomunistycznych. To sukces, ale spytam: czy jest coś, co podczas transformacji gospodarczej mogliście zrobić lepiej?

Większość decyzji była prawidłowa, a ryzyko okazało się warte podjęcia.

W Polsce zwłaszcza po kryzysie lat 2008-2009 rozgorzała dyskusja, czy naszej transformacji nie powinno się jednak przeprowadzić z większym uwzględnieniem strony socjalnej, że może ultraliberalne podejście nie było jedynym możliwym. W Estonii nie było podobnej refleksji po tamtej recesji?

Gdybyśmy w latach dziewięćdziesiątych prowadzili bardziej konserwatywną politykę gospodarczą, nie otworzyli się i nie zreformowali sektora państwowego, skończyłoby się to katastrofą, jaką obserwujemy w Ukrainie i niektórych innych państwach poradzieckich – także jeśli chodzi o rozmiary ubóstwa. Decyzja o budowie liberalnej gospodarki i otwarciu na rynek globalny była właściwa. Tak, pozycja Estonii i Polski była znacznie słabsza niż naszych europejskich partnerów, mieliśmy znacznie mniej kapitału i byliśmy biedni, ale bez tego otwarcia byłoby znacznie gorzej.

Kryzys gospodarczy lat 2008-2009 miał poważniejsze skutki polityczne niż gospodarcze. Implozja rynków finansowych uderzyła też w Estonię, ale stosunkowo szybko się odbudowaliśmy. Potem w całej Europie, a zwłaszcza w państwach wschodnioeuropejskich, przyszedł kryzys polityczny, częściowo wynikający z tego, że w naszych krajach wciąż mieszka wielu ludzi ubogich. Do wybuchu kryzysu Europa Zachodnia po drugiej wojnie światowej budowała swoją gospodarkę przez sześćdziesiąt lat, a my raptem przez dwadzieścia. To za mało, by wyprowadzić masy z ubóstwa. Skutkiem uderzenia kryzysu w biedniejsze grupy społeczne był wzrost populizmu.

Wszystko to nie znaczy jednak, że gdybyśmy nie otworzyli gospodarki w latach dziewięćdziesiątych, tych biednych by nie było. Byłoby ich znacznie więcej. Naszym zadaniem jako Polski i Estonii jest stopniowe i regularne zmniejszanie odsetka ubogich. Jeśli tego nie zrobimy, nie poradzimy sobie z populizmem przez dekady. Estońscy populiści z Estońskiej Konserwatywnej Partii Ludowej (EKRE) są słabi pod względem gospodarczym, zresztą poza dwoma latami nie rządzą.

Tajemnicy sukcesu EKRE szuka pani w globalnym kryzysie finansowym?

Między innymi w nim – podobnie zresztą, jak tajemnicy sukcesów prawicy w innych państwach, w tym w Polsce. Ludzie biedniejsi byli nieproporcjonalnie bardziej dotknięci skutkami kryzysu, a to oni stanowią znaczną część elektoratu takich partii.

Estonii udało się przez te trzydzieści lat zbudować nowy wizerunek kraju w pełni scyfryzowanego, od poziomu elektronicznych dowodów osobistych aż po fantastyczne, interaktywne Muzeum Narodowe w Tartu.

Sukces cyfryzacyjny Estonii to tak naprawdę zasługa dwóch prezydentów: Lennarta Meriego i Toomasa Hendrika Ilvesa. To oni zdigitalizowali estońskie szkoły. Ilves wychował się w Stanach Zjednoczonych, cały okres nastoletni spędził w swoim pokoju w stanie Nowy Jork, programując na swoim prymitywnym wtedy komputerze. Był nerdem-programistą i gdy Estonia odzyskała niepodległość, wpadł na szalony pomysł, że każdy estoński uczeń też powinien nim zostać. Przeczytał mnóstwo książek i zarządził, by każda szkoła była wyposażona w klasę komputerową podłączoną do internetu. Znalazł zwolenników, ale nawet oni nie przypuszczali wtedy, że ostatecznie doprowadzi nas to do cyfrowego rządu. Może zresztą ta historia sprawiła, że Estonia jest jedynym państwem postsowieckim, a może i jedynym postkomunistycznym, do którego masowo wrócili polityczni emigranci, inteligencja z czasów przedwojennej republiki i jej dzieci. Wywarli oni znaczący wpływ na estońskie reformy lat dziewięćdziesiątych, prywatyzację, edukację, demokratyzację, budowę praworządności; przynosili swoje doświadczenia i świetne wykształcenie z Kanady, Szwecji czy Stanów Zjednoczonych. Im było łatwiej poprowadzić Estonię do sukcesu niż ludziom urodzonym i żyjącym za czasów komunizmu.

| Jaka powinna być estońska idea narodowa na kolejne trzydzieści lat?

Szkolnictwo. Mamy jeden z najlepszych systemów edukacyjnych na świecie, jesteśmy z niego dumni, ale jesteśmy przy tym nawet nie małym krajem, ale mikropaństwem. Dla mojej polskiej rodziny mały kraj to taki z dziesięcioma milionami mieszkańców. Wtedy im mówię, że powinni skreślić jedno zero, bo nas jest akurat milion.

Mamy dwa zasoby: ludzi i lasy. Nic poza tym. Musimy inwestować więc w ludzi. Islandia jest dobrym przykładem kraju, w którym ludzie są znakomicie wykształceni i nikt nie jest pozostawiony samemu sobie. A lasy? Przeżywamy zieloną rewolucję, więc to drewno, a nie beton, powinno zyskiwać na popularności. Estońska gospodarka tylko na tym zyska. Do tego oczywiście należy podejmować dalsze kroki ku erze cyfrowej. Zastanawiamy się w Estonii nad kolejną generacją cyfrowego zarządzania. Każda osoba powinna mieć swoje własne państwo.

| Co to znaczy?

Założenie jest takie, że ponieważ państwo i tak wie o nas wszystko, powinno dostarczać ono każdemu obywatelowi zindywidualizowane usługi. Nie należy rozbijać społeczeństwa na grupy i oddzielnie traktować ludzi z niepełnosprawnościami, a oddzielnie rodzin z trójką dzieci. Jako Kristina Kallas jestem wyjątkową kombinacją różnych charakterystyk. Mogę mieć jakąś niepełnosprawność, mogę mieć trójkę dzieci, mogę mieć matkę wymagającą stałej opieki. Państwo powinno potrafić tak zaprojektować usługi, by były one indywidualnie dostosowane do potrzeb moich i każdego z moich współobywateli. Sądzę, że Estonia powinna zmierzać właśnie w tym kierunku.

| Kim się czują dzisiejsi Estończycy? Uważacie się za część Europy Północnej czy wciąż jesteście w Europie Środkowej albo Wschodniej?

Myślę, że jesteśmy częścią regionu bałtyckiego. Czujemy się krajem nordyckim, ale jednocześnie mamy bardzo silne związki z państwami zlewiska bałtyckiego. W interesie Estonii jest trzymać te dwa regiony blisko siebie, włącznie z Polską jako istotnym krajem nadbałtyckim, w mniejszym stopniu z Niemcami. Z perspektywy Estonii najważniejsze są państwa nordyckie plus Litwa, Łotwa i Polska.

| I nie mówi pani tego tylko dlatego, że część pani rodziny to Polacy?

Nie. Nie wiem, jak nowy rząd, ale poprzedni mocno orientował się na Polskę. Zaczęło się od współpracy wojskowej w ramach NATO, ale do tego dodano front antyrosyjski, bo nasze kraje w bardzo podobny sposób rozumieją kwestie bezpieczeństwa, bardziej podobny niż Estonia i państwa nordyckie. Także gospodarcze i przemysłowe znaczenie Polski jest ogromne, choć z drugiej strony kapitał płynie do Estonii przede wszystkim z Północy, a i nasz rynek pracy jest bardziej związany z państwami nordyckimi.



Zachód szanta żowany

Z Natalią Morari,
mołdawską dziennikarką,
rozmawia Piotr Oleksy

Natalia Morari – jedna z najbardziej znanych mołdawskich dziennikarek politycznych. W 2002 roku wyjechała do Rosji i rozpoczęła studia dziennikarskie na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym. Współpracowała z tygodnikiem „New Times/Nowoje wremja”, na łamach którego w 2007 roku opublikowała artykuł *Czarna kasa Kremla*. Wkrótce Federalna Służba Bezpieczeństwa uznała ją za zagrożenie dla bezpieczeństwa Rosji i uniemożliwiła powrót do kraju z wyjazdu służbowego. W 2009 roku Morari zaczęła pracę w mołdawskiej telewizji informacyjnej „Publica”, stając się jedną z twarzy przełomu proeuropejskiego. Z redakcji odeszła w 2013 roku, ujawniając naciski ze strony proeuropejskiej koalicji. Od tego czasu jest współwłaścicielką niezależnej stacji TV8, w której prowadzi polityczny talk show *Politica*.

Dr Piotr Oleksy – historyk i wschodoznawca. Pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor książki *Naddniestrze. Terror tożsamości*.

PIOTR OLEKSY: Po prawie trzydziestu latach niepodległości pojawił się poważny test dla krajów powstałych po rozpadzie ZSRR. Co o mołdawskim państwie powiedziała nam pandemia koronawirusa?

NATALIA MORARI: Pokazała, że nasze państwo niemal upadło. Zobaczyliśmy, co w sytuacji kryzysowej dzieje się z krajem, w którym nie rozwija się stabilnych i niezależnych instytucji oraz nie kładzie się nacisku na sferę socjalną. Mołdawski system ochrony zdrowia w zasadzie się załamał. To efekt wieloletniej korupcji, braku państwowych inwestycji oraz wyjazdu całej masy lekarzy i pracowników medycznych. Nie ma co się dziwić: w Kanadzie czy Rumunii mogą oni zarobić przyzwoite pieniądze, a tu pracują za kopejki.

A czego dowiedzieliśmy się o mołdawskim społeczeństwie?

Przekonaliśmy się, że Mołdawianie są o wiele bardziej cierpliwi niż inne narody, a w życiu liczą tylko na siebie. Państwo w ogóle nie pomogło małemu biznesowi, a mimo to przedsiębiorcy nie protestowali. Nie dotyczy to zresztą jedynie przedsiębiorców: nie odbyły się żadne protesty przeciwko obostrzeniom. Ludzie raczej zdecydowali się na emigrację wewnętrzną. Zamknęli się w swoich mieszkaniach, ograniczyli liczbę kontaktów.

Mówisz, że mołdawskie państwo doprowadzono prawie do stanu upadku. Tymczasem po 1991 roku życiem politycznym w Mołdawii rządziły kwestie tożsamościowe – spór o kształt i charakter wspólnoty narodowej, wybory geo-

lityczne, a nawet o to, jak nazywać język państwowy. Czy mołdawska polityka nadal będzie skupiać się na tych problemach?

Paradoksem tej sytuacji jest fakt, że na co dzień nie ma u nas konfliktów tożsamościowych czy językowych. Jeśli ktoś powie, że rumuńskojęzycz-

Pandemia pokazała, że nasze państwo jest państwem niemal upadłym.

ni i rosyjskojęzyczni się nie dogadują, grubo przesadzi. Kwestie tożsamości i geopolityki są jednak narzucane społeczeństwu przez polityków, ponieważ jest to najłatwiejszy sposób na mobilizację wyborców. Niestety, w Mołdawii nie było i nie ma polityków,

którzy myśleliby w perspektywie długoterminowej. Zawsze myślano o kolejnych wyborach: czy uzyskamy odpowiednią liczbę mandatów, czy przejmie kontrolę nad prokuraturą, czy nasze rodziny będą mogły obstarwić przetargi.

W ostatniej kampanii prezydenckiej Igor Dodon, ówczesna głowa państwa, zaczął opowiadać, że jeśli wygra jego rywalka Maia Sandu, to zaraz pojawi się tu NATO, wróci kwestia zjednoczenia z Rumunią, stracimy Nadniestrze. Tymczasem badania socjologiczne pokazują, że dla zwykłych ludzi największym problemem jest brak praw socjalnych dla dorosłych, ochrony socjalnej dla dzieci, brak pracy i korupcja.

Być może była to jedna z przyczyn porażki Dodona i zwycięstwa Mai Sandu?

Chyba tak. Stara klasa polityczna nie rozumie, że tu nie chodzi o tożsamości i geopolitykę, lecz o realne przetrwanie mołdawskiego państwa – o to, czy będziemy państwem upadłym.

Twoim zdaniem nowa prezydent rozumie tę zmianę?

Wiele wskazuje na to, że tak. Jeszcze cztery lata temu znacznie częściej sięgała po typowo proeuropejską retorykę: zachodni partnerzy nam pomogą, Unia jest dobra, Rosja zła, Rumuni to bracia zza Prutu i tak dalej.

Tym razem jej przekaz był bardziej jednoczący.

W tych wyborach mówiła ludziom: nie ma znaczenia, jakiego języka używacie, skoro wszyscy jeździmy po tak samo złych drogach, a członkowie naszych rodzin umierają w tych samych przepelnionych szpitalach. To była jedna z przyczyn jej zwycięstwa.

Istnieje oczywiście jądro elektoratu, które nadal bardzo zwraca uwagę na kwestię historii czy języka – zarówno wśród wyborców Sandu, jak i Dodona. Największa część społeczeństwa domaga się jednak budowy państwa z prawdziwego zdarzenia. Jeśli zapytasz mnie, co nam się przez te lata nie udało, odpowiem, że przede wszystkim stworzenie silnych, niezależnych instytucji. W Mołdawii wszystko zależy od czynnika osobowości – charakter rządzących determinuje każdą rzecz. Instytucje państwowe powinny być na takie zmiany odporne, konieczna jest ich ciągłość.

W Mołdawii dwukrotnie do władzy dochodziły siły, które zdawały się móc zjednoczyć społeczeństwo, nie zajmowały się tożsamościowo-geopolitycznym przeciąganiem liny: w połowie lat dziewięćdziesiątych była to wywodząca się z nomenklatury kołchozowej Partia Agrarno-Demokratyczna, a w 2009 roku koalicja partii proeuropejskich. Dlaczego jednak pogodzenie podzielonych tożsamościowo czy językowo Mołdawian nigdy się nie udało?

W obu przypadkach elity, które przyszły na fali zapotrzebowania na zmianę, wykorzystały te nastroje dla osobistych celów. To schematy znane z każdej poradzieckiej republiki: przywłaszczanie majątku, pojawienie się oligarchów i tak dalej. Rozpad ZSRR spowodował rozpad instytucji, a ówczesna elita ekonomiczna wykorzystała to. Gdyby w połowie lat dziewięćdziesiątych agrariusze faktycznie chcieli zjednoczyć naród i państwo, to pewnie by im się udało, mieli wszystkie potrzebne narzędzia. Ale zamiast tego zaczęli tworzyć pierwsze korupcyjne schematy – wtedy właśnie zrodziła się nasza oligarchia. To samo stało się po 2009 roku. W wyniku rewolucji odsunięto od władzy komunistów, a zamiast nich do władzy doszła koalicja – jak nam się wydawało – zdrowych, prawdziwie proeuropejskich sił, które mówiły o zachodnim modelu społecznym, o wolności słowa...

I Uważasz, że na deklaracjach się skończyło?

Nie można powiedzieć, że nic im się nie udało. Zrobili sporo, zwłaszcza w pierwszych latach. Od razu zaczęli tworzyć jednak schematy korupcyjne, dzięki którym Mołdawia stała się znana na cały świat. Mam na myśli głośne afery z wyprowadzeniem miliarda dolarów z mołdawskich banków czy sprzedażą lotniska. Przy czym za każdym razem, gdy pojawiał się temat korupcji, oni pokazywali europejską flagę. Vlad Plahotniuc, oligarcha, który w tym okresie zawłaszczył państwo, wszystkich swoich krytyków oskarżał, że są agentami Kremla.

Nie tylko lokalni politycy, ale i aktorzy zewnętrzni instrumentalizowali podziały tożsamościowe w mołdawskim społeczeństwie. Jak oceniasz wpływ partnerów zagranicznych na powstanie oligarchicznego systemu w Mołdawii?

Zaznaczę na wstępie, że jestem Mołdawianką, ale rosyjskojęzyczną. Jestem typowym produktem radzieckiego systemu – mama szybko się rozwiodła, postanowiła, że dzieci lepiej wychowywać w rosyjskojęzycznych przedszkolach i szkołach. Zawsze bardzo pozytywnie odnosiłam się do rosyjskiej kultury, wiele lat mieszkałam w Rosji. Jeśli jednak chodzi o politykę Moskwy wobec mojego kraju, to muszę powiedzieć, że w najlepszym wypadku mieli nas w głębokim poważaniu.

W najlepszym – a w najgorszym?

Najczęściej Kreml zapewniał sobie kilka narzędzi wpływu, takich jak Nadniestrze, monopol na gaz czy konkretne siły polityczne. I dzięki nim blokował prawdziwy rozwój kraju.

Dlaczego Kremlowi miałyby zależeć, żeby Mołdawia była biedna?

Wiesz, dlaczego Władimir Putin nie mógł wybaczyć Micheilowi Saakaszwilemu sukcesów w czasie jego pierwszej kadencji prezydenckiej w Gruzji? Putin boi się sytuacji, gdy poradziecki kraj staje się normalną demokracją, a przy tym radzi sobie bez Rosji. Dlatego Kreml woli, aby w jego otoczeniu były słabe państwa i skorumpowane elity.

Bilans mołdawskich relacji z Zachodem jest inny?

Przez długi czas postrzegaliśmy Europę jako przeciwieństwo Rosji. W Unii Europejskiej widzieliśmy partnerów, którzy nie będą chcieli nam zaszkodzić, a zaoferują pomoc w modernizacji państwa.

Dalej tak uważasz?

Obecnie myślę, że Zachód jest w dużym stopniu winny temu, że Mołdawia stała się państwem zawłaszczonym przez oligarchów.

Gdy w 2009 roku do władzy doszła proeuropejska koalicja, jej politycy od razu podzielili między siebie państwo: dla ciebie prokuratura, dla niego gospodarka, dla mnie służby specjalne... W 2013 roku dla wszystkich stało się jasne, jakie mechanizmy rządzą

Zachód jest w dużym stopniu winny temu, że Mołdawia stała się państwem zawłaszczonym przez oligarchów.

w tej koalicji, wtedy też zaczęła się walka wewnątrz obozu władzy: Wład Filat, ówczesny premier, rozpoczął otwartą wojnę z potężnym oligarchą Władem Plahotniukiem.

| Na czym ona polegała?

Rywalizowano o wpływy. Filat zdał sobie sprawę, że jego rywal dzięki przejęciu kontroli nad wymiarem sprawiedliwości stał się zbyt potężny. Partia Filata miała największe poparcie wśród koalicjantów, on sam nie odważył się jednak na przyspieszone wybory, gdyż sondaże pokazywały, że władzę przejąłby na powrót Partia Komunistów – tego uniknąć chcieli jego zachodni partnerzy. Rozczarowanie społeczne rządami koalicji było tak duże, że powtórzyłby się scenariusz ukraiński: gdy po pomarańczowej rewolucji Wiktor Juszczenko i Julia Tymoszenko zaczęli ze sobą walczyć, władzę przejął Wiktor Janukowycz.

| Jak zachował się Zachód?

Zachodni partnerzy zaczęli naciskać, aby koalicjanci się porozumieli. Naciskano przede wszystkim na Filata. Celem było wtedy podpisanie Umowy Stowarzyszeniowej z Unią Europejską i dlatego zachowano ówczesny skorumpowany układ władzy, a Zachód stał się obrońcą Plahotniuka.

Kryzys, o którym mówisz, miał miejsce w 2013 roku. Potem wydarzyło się jednak bardzo wiele: na Ukrainie wybuchła rewolucja godności, Rosja anektowała Krym, zaczęła się wojna o Donbas. Mołdawia podpisała Umowę Stowarzyszeniową w czerwcu 2014 roku, a w listopadzie odbyły się wybory parlamentarne. Czy podpisanie Umowy oraz rosyjska agresja na sąsiada miały zasadniczy wpływ na utrzymanie władzy przez partie proeuropejskie?

Proeuropejska koalicja zachowała większość po wyborach w 2014 roku drogą machinacji. Kilka dni przed wyborami skreślono z list prorosyjską partię Renato Usatîiego, która była jednym z liderów sondaży. Stworzono też klon Partii Komunistów – ugrupowanie o prawie takiej samej nazwie i logotypie. Wielu starszych ludzi się na to nabrało. Nie możesz budować demokracji metodami niedemokratycznymi. W pewnym momencie zachodni partnerzy pozwolili naszej proeuropejskiej elicie zdyskredytować europejską ideę w oczach Mołdawian.

Rozmawiamy o oligarchach, politykach i mocarstwach. Jak na zawłaszczanie państwa reagowało społeczeństwo?

Kroplą, która przelała czarę goryczy, była kradzież miliarda dolarów z mołdawskich banków, której dopuściła się elita. Wybuchły największe protesty społeczne od 1989 roku. Przeciw władzy partii uznawanych do niedawna za proeuropejskie protestowali przede wszystkim najbardziej proeuropejsko nastawieni obywatele. W tym czasie

Plahotniuc pokonał Filata, wpakował go do więzienia, po czym dążył do skupienia całej władzy w swoich rękach.

W styczniu 2016 roku, gdy w parlamencie zatwierdzono podporządkowany Plahotniukowi rząd, ludzie znów wyszli na masowy

protest. I co się stało? Victoria Nuland, która w amerykańskim Departamencie Stanu sprawowała pieczę nad naszym regionem, stwierdziła publicznie, że cieszy ją powstanie tego gabinetu.

Elity w takich krajach jak Mołdawia będą mówić Zachodowi wszystko, co ten będzie chciał usłyszeć, a w rzeczywistości zbudują czysto rosyjski model.

Nie wiem, czy jest drugi kraj w Europie, w którym ambasadorowie USA, Rosji i UE odgrywaliby tak ważną rolę.

To był wielki cios dla protestujących. Liczyli, że chociaż zachodnim partnerom zależy na tym, co się tu dzieje – a okazało się, że ważniejsze jest, żeby rząd był antyputinowski. Nasza władza poczuła trendy, które zapanowały po aneksji Krymu i wojnie w Donbasie: najważniejsze to bić w Rosjan. Jeśli to robisz, Zachód wybaczy ci wszystko. Reformy zeszły na dalszy plan. A w takich krajach jak Mołdawia (małych, słabych, z niewykształconymi instytucjami) skorumpowane elity łatwo mogą zmonopolizować władzę. Będą mówić Zachodowi wszystko, co ten będzie chciał usłyszeć, a w rzeczywistości zbudują czysto rosyjski model na wzór państwa Władimira Putina.

Latem 2019 roku do Kiszyniowa przylecieli Dmitrij Kozak – wtedy wicepremier FR i specjalny przedstawiciel prezydenta do spraw Naddniestrza, Johannes Hahn – komisarz UE do spraw polityki sąsiedztwa oraz Bradley Freden – dyrektor biura do spraw Europy Wschodniej w Departamencie Stanu USA. Wspólnie pracowali na rzecz porozumienia prorosyjskich socjalistów i prozachodniego bloku ACUM, stając się ojcami chrzestnymi szerokiej koalicji, skierowanej przeciw Plahotniukowi. Ten ostatni rzeczywiście utracił niebawem wpływy. Wtedy

zagraniczni partnerzy odegrali pozytywną rolę, ale czy nie podważyli w ten sposób podmiotowości mołdawskiego społeczeństwa i klasy politycznej?

Oczywiście bez udziału sił zewnętrznych nie doszłoby do wydarzeń 2019 roku, ale pamiętajmy, że wcześniej bez wsparcia z zewnątrz ten reżim by nie powstał. Zachodni partnerzy mogli pomóc mołdawskiemu społeczeństwu, gdy protestowało na ulicach. Badania poświęcone demokracji autorytarnych reżimów pokazują, że zaledwie trzy procent rewolucji kończy się sukcesem: po stronie reżimu autorytarnego – czy to klasycznego, czy, jak w naszym wypadku, oligarchicznego – działa bowiem aparat represji. A w tym wypadku reżim wspierały na dodatek zachodnie mocarstwa. O jakiej podmiotowości możemy mówić w walce z tak potężnymi przeciwnikami?

Wspomniana koalicja socjalistów i nowych partii prozachodnich, która powstała w 2019 roku, była możliwa, bo mocarstwa zrobiły przerwę w geopolitycznej rywalizacji.

Koalicja funkcjonowała zaledwie kilka miesięcy i nie zrealizowała wielu swoich celów, jednak do tej pory zastanawiam się, czy to nie jest dobry model dla dzisiejszej Mołdawii?

Jaki model masz na myśli?

Odsunięcie na chwilę na bok wszystkiego, co nas dzieli – przede wszystkim geopolityki – i skupienie się na tym, co łączy: na budowie państwowych instytucji i służby zdrowia, reformach ekonomicznych, inwestycjach.

Na świecie dużą popularność zdobywa idea rządów silnej ręki. Mołdawianie w ciągu ostatnich trzydziestu lat doświadczyli ich dwukrotnie. Najpierw w latach 2001-2008 Vladimir Voronin i jego Partia Komunistów stworzyli system półautorytarny, potem metodami mafijnymi państwo podporządkował sobie Plahotniuc. Jakie Mołdawianie wyciągnęli z tego wnioski?

W czasach rządów komunistów wszystkie instytucje państwowe podporządkowały sobie partia i klan Voronina. Dzięki temu były w stanie kontrolować również dużą część biznesu. Dużym problemem był też ich monopol na informacje.

Plahotniuc wszedł do wielkiego biznesu właśnie dzięki współpracy z klanem Voronina, a później chciał zająć jego miejsce. Działał przy pomocy dwóch narzędzi: strachu i pieniędzy. Strach przed trafieniem za kratki był powszechny, bo wymiar sprawiedliwości został zupełnie podpo-

rządki Plahotniukowi. Alternatywą było dać się kupić. W 2018 roku stowarzyszenie zrzeszające burmistrzów i wójtów wykazało, że przeciwko co trzeciemu z nich toczy się sprawa karna. Wszczynano je nawet z głupich powodów. To samo dotyczyło przedsiębiorców. Strach udzielał się wszystkim.

| Jak ów strach wpłynął na społeczeństwo?

Na społeczeństwo i polityków zadziałał jak szczepionka. Gdy powróciło normalne życie polityczne, a przedsiębiorcy przestali bać się rozmawiać przez telefon, ludzie odetchnęli. Z kolei dla polityków ważną lekcją było to, jak skończył Plahotniuc.

Przypomnijmy: oligarcha musiał opuścić kraj, przez jakiś czas przebywał w USA, skąd również musiał wyjechać. Nie mamy pewności gdzie jest obecnie, prawdopodobnie starał się o obywatelstwo tureckie.

Mam nadzieję, że to lekcja, którą politycy rozumieją: nawet jeśli zdobędziesz większość w parlamencie, przejmiesz kontrolę nad prokuraturą i sądami, nie jesteś bezpieczny, możesz wszystko stracić z dnia na dzień. A potem będziesz musiał się ukrywać i włączyć po świecie.

Około 2016 roku zrozumieliśmy, że rządząca Mołdawią elita jest ze sobą ściśle powiązana więziami o charakterze klanowym. Jaką rolę w mołdawskiej polityce grają te nieformalne powiązania?

Klany biznesowe i polityczne są zjawiskiem powszechnym w całym regionie poradzieckim, niemniej Mołdawia ma tu swoją wyraźną specyfikę, która wynika z naszej kultury ludowej. Chodzi o zjawisko, które nazywa się nanaszyzmem lub kumotryzmem. Kum to ojciec chrzestny mojego dziecka. Nanasz to człowiek, który staje się patronem, opiekunem mojego małżeństwa. W naszej kulturze, gdy wchodzisz z danym człowiekiem w taką relację, bierzesz na siebie bardzo istotne zobowiązanie społeczne: w żadnym wypadku nie możesz wystąpić przeciw swojemu nanaszowi lub kumowi; nanasz jest zobowiązany ci pomagać, a ty masz być wobec niego lojalny. A że przez te trzydzieści lat nie wykształciły się u nas niezależne instytucje, wspomniane zależności stały się częścią systemu politycznego. Często żartuję, że nanaszizm trzeba w końcu sformalizować.

Twoje pokolenie nie pamięta już Związku Radzieckiego; to ono mogłoby stać się fundamentem mołdawskiego państwa. Jednak to właśnie w tej generacji pojawiło się zjawisko masowej, niespotykanej wręcz emigracji zarobkowej. Kto miałby więc budować państwo i instytucje, o których mówisz?

Racja, mam trzydzieści siedem lat i dla mnie Związek Radziecki to takie sklepowe żółte tasiemki, do których przyklejały się muchy. Takie wspomnienie z dzieciństwa stają mi przed oczami, gdy słyszę „ZSRR”.

Rzeczywiście, migracja jest ogromnym problemem. Na szczęście ci, którzy wyjechali, nie zerwali związków z domem. Wielu wspiera finansowo rodziny, w ostatnich wyborach prezydenckich zdecydowanie poparli Maię Sandu. Migranci mieszkają głównie w UE i widzą plusy europejskiego modelu życia, do którego szybko przywykają. Wiązę z tymi ludźmi nadzieję.

Jeszcze kilka lat temu dominowało przekonanie, że ludzie, którzy opuścili Mołdawię, szybko zapomną o tym kraju. Tymczasem w czasie wyborów prezydenckich w 2020 roku ludzie stali w długich kolejkach do lokali wyborczych we Włoszech czy Niemczech, śpiewali mołdawski hymn *Limba noastră*. Pytanie, co dalej? Czy można skłonić tych ludzi, żeby wrócili?

Statystyki pokazują, że wraca około piętnastu procent Mołdawian. Wtedy zaczynają żądać od państwa takich usług, do których przywykli za granicą. Ci ludzie mogą być siłą napędową zmian, ale nie zrobią wszystkiego. Emigracja oznacza dla nas więc przede wszystkim stracony potencjał społeczny, intelektualny i ekonomiczny.

Można jednak myśleć o modelu, który przyciągałby emigrantów do udziału w rozwoju kraju bez zmiany miejsca zamieszkania.

I To znaczy?

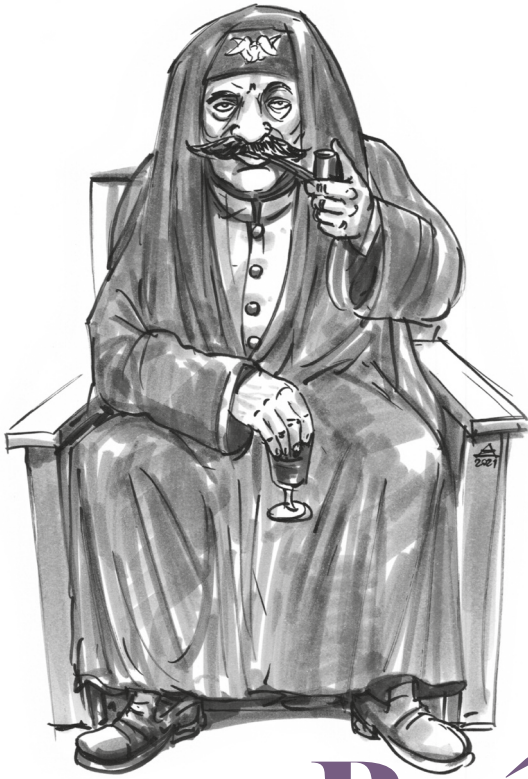
Oni cały czas regularnie przesyłają pieniądze swoim rodzinom. Szacuje się, że rocznie jest to około szesnastu procent PKB Mołdawii. Ale my te pieniądze przejadamy! Należy zacząć myśleć o mechanizmie, który spowodowałby, że środki te nie będą wydawane na zakup nowego mieszkania w Kiszyniowie, lecz zaczną mnożyć kapitał, tworzyć miejsca pracy. Wystarczy, żeby te same kwoty, a może i większe, były inwestowane w rozwój rodzinnych biznesów.

Do tej pory szans na rozwój mołdawskiej gospodarki dopatrywano się przede wszystkim w rolnictwie. Mołdavia jest bogata w czarnoziemi, do tego słynie

z tradycji winiarskich. Tymczasem już teraz mołdawska branża IT generuje większe dochody niż sprzedaż wina.

My nie potrzebujemy rozwoju, na to jest już za późno. My potrzebujemy rewolucji mentalnej, która da nam prawdziwy skok ekonomiczny. Jeśli założymy solidny wzrost na poziomie pięciu-sześciu procent, to i tak będziemy pięćdziesiąt lat gonić Europę. Poza tym, biorąc pod uwagę demografię i kurczącą się populację Mołdawii, to za pięćdziesiąt lat będzie dla nas za późno.

Od młodych polityków oczekuję, że poważnie zaczną się zastanawiać, jakie będzie miejsce Mołdawii w światowej gospodarce za pięćdziesiąt lat. Kim będziemy? Co damy światowej gospodarce, żeby ona nas nie wypłuła? Oczywiście nie zrobimy tu drugiej Doliny Krzemowej, jednak możemy iść tropem Irlandii, z której też wyjechała duża część ludności, ale władze tego kraju pozwoliły światowym firmom otwierać u siebie główne siedziby. W Dublinie na każdym kroku spotykasz Hindusów, którzy pracują w branży IT. Jeśli teraz zaczniemy nad tym pracować, za dziesięć lat pojawią się pierwsze rezultaty. Nieważne, z jaką flagą w rękach, istotne, żeby w końcu zacząć budować państwo. Silny kraj, w którym ludzie zarabiają wystarczająco dużo pieniędzy i czują się na tyle komfortowo, żeby móc pomyśleć o tym, że latem pojedą do Unii Europejskiej odpoczywać. Odpoczywać – a nie zarabiać, podcierając innym tyłki.



wy Państwo modlone

Z Ketevan Khutsishvili,
profesor Tbiliskiego Uniwersytetu Państwowego
imienia Ivane Javakhishvili, rozmawia Stasia Budzisz

Ketevan Khutsishvili – profesorka w Instytucie Etnologii Tbiliskiego Państwowego Uniwersytetu imienia Ivane Javakhishvili. Zajmuje się wielokulturowością oraz antropologią społeczną, kulturową i religijną.

Stasia Budzisz – reporterka, specjalizuje się w problematyce kaukaskiej. Współpracuje między innymi z „Przekrojem”, „Nową Europą Wschodnią” i „Krytyką Polityczną”. W 2019 roku ukazała się jej książka reporterska *Pokazucha. Na gruzińskich zasadach*.

STASIA BUDZISZ: Jednym z następstw procesów modernizacyjnych, które zachodziły w byłym ZSRR, było odrodzenie religii. W odzyskaniu przez Gruzję niepodległości w 1991 roku niebagatelną rolę odegrała Gruzkańska Apostolska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna. Niektórzy twierdzą, że religia i wszelkie wartości z nią związane szybko zajęły miejsce komunizmu.

KATEVAN KHUTSISHVILI: Nie do końca tak było, choć jest w tym odrobina prawdy. Zwrot ku religijności zaczął być zauważalny podczas pierestrojki, ale następował stopniowo. To był czas, w którym stare wartości, związane z ideologią komunistyczną, wyczerpywały się, a nowych jeszcze nikt nie wymyślił. Idee religijne zachowały się w zbiorowej pamięci, ale wciąż nie zaczęły na nowo odgrywać tak znaczącej roli. Niemniej podczas gorbaczowowskiej odwilży stawanie w obronie Cerkwi było swego rodzaju manifestacją tożsamości narodowej. Religia odradzała się również dlatego, że w ZSRR była rugowana.

Jaka jest rola chrześcijaństwa w budowaniu gruzińskiej państwowości oraz tożsamości narodowej?

Aby zrozumieć rolę chrześcijaństwa wschodniego w formowaniu gruzińskiej tożsamości i kultury – zarówno duchowej, jak i materialnej – musimy się nieco cofnąć w czasie. Od szesnastu wieków chrześcijaństwo łączyło się nierozzerwalnie z ideą państwowości i niezależności. Gruzkańska Cerkiew zaznaczała swoją odrębność choćby w stosunku do islamu na wielu płaszczyznach – śpiewu polifonicznego, architektury czy języka. Gruzkańska

Cerkiew ma długą tradycję autokefalii. Zlikwidowało ją dopiero Imperium Rosyjskie w XIX wieku, gdy Gruzja straciła niepodległość i stała się częścią Rosji. Wzmocniło to tylko poczucie nierozzerwalnego współistnienia państwa i religii, jednocześnie utraciliśmy jedno i drugie. Wokół idei walki narodowowyzwoleńczej jednoczyły się elity intelektualne, a Cerkiew stała się jej symbolem.

W 1918 roku Gruzja na krótko odzyskała niepodległość oraz autokefalię, a po 1921 roku i sowietyzacji kraju nastąpiła ateizacja oraz szereg represji. Cerkiew pozostała jednak symbolem walki, pod jej sztandarami zbierały się elity; odegrała także znaczącą rolę w odzyskaniu niepodległości w 1991 roku.

Komuniści postrzegali Cerkiew jako konkurencyjną siłę polityczną. W 1927 roku pod wpływem silnych represji wobec duchownych Święty Synod Gruzińskiej Cerkwi zdecydował się na współpracę z nowymi władzami. W Gruzji do dziś nie przeprowadzono lustracji, nie rozliczono się z tamtym okresem. Dlaczego? Rzeczywiście, nie podjęto w tym kierunku żadnych kroków, choć ciągle się o tym mówi. Na początku lat dziewięćdziesiątych, jeszcze za rządów pierwszego prezydenta Zwiada Gamsachurdii [1991-1992 – przyp. red.], częściowo otwarto archiwa KGB, ale nieliczni mieli do nich dostęp.

Brak lustracji tłumaczy się na różne sposoby. Argumentuje się go między innymi tym, że jesteśmy niewielkim krajem. Populacja Gruzji liczy niecałe cztery miliony obywateli, każdy z każdym jest w jakimś stopniu powiązany, istnieje więc ryzyko, że lustracja nie przejdzie gładko. Być może gdyby przeprowadzono ją od razu, trzydzieści lat temu, kiedy sytuacja w kraju była bardzo niestabilna – trwała wojna domowa, walki o Abchazję i tak zwaną Osetię Południową, gigantyczny kryzys gospodarczy – dokonałaby się spokojniej. A tak, dziś nadal istnieje dylemat: otwierać archiwa czy może lepiej nie?

Na temat Gamsachurdii zdania w Gruzji są dziś skrajnie podzielone; jest on kojarzony przede wszystkim z silnym nacjonalizmem. W 2004 roku patriarcha Eliasz II wypowiedział się o nim pozytywnie. To o tyle problematyczne, że w oficjalnych kręgach wymawianie jego nazwiska było niemile widziane. Patriarcha tłumaczył potem, że nie chciał chwalić „zwiadyzmu”, a jedynie życzyć nowemu prezydentowi – Micheilowi Saakaszwilemu, którego oficjalnie poparł – by położył kres przejmowaniu władzy w kraju przy użyciu siły.

By zrozumieć tę wypowiedź, należy cofnąć się do lat siedemdziesiątych XX wieku. To wówczas zaczęła się nowa fala ruchu narodowyzwolenczego, na czele której stał między innymi Zwiad Gamsachurdia. Skupieni wokół niego ludzie byli związani z Cerkwią jako strażniczką idei niepodległości. Cerkiew zaś, mimo że współpracowała ze służbami, nadal podtrzymywała idee narodowe. Oczywiście nie wiem, czy owi działacze byli wierzący, ale ich każdorazowa obecność w świątyni była przede wszystkim formą buntu.

Oficjalne stanowisko Cerkwi w dobie rozpadu ZSRR nie było tak skrajnie nacjonalistyczne jak Gamsachurdii. Oczywiście, cerkiewni duchowni brali udział w ważnych wydarzeniach politycznych, na przykład w masakrze dziewiętego kwietnia 1989 roku, podczas której wojsko krwawo stłumiło pokojową demonstrację niepodległościową. Stali po tej samej stronie barykady co „zwiadyści”, ale Cerkiew nie popierała publicznie poczynań Gamsachurdii i środowisk, z których się wywodził. Wspomniana wypowiedź Eliasza II z grudnia 2004 roku była próbą okazania szacunku pierwszemu prezydentowi niepodległej Gruzji, którego część obywateli nadal poważa.

Patriarcha cieszy się niezwykłym autorytetem: osiemdziesiąt dziewięć procent Gruzinów deklaruje do niego zaufanie, co czyni go najlepiej ocenianą osobą publiczną w kraju.

Niemniej Gruzińska Cerkiew Prawosławna jest silnie związana z polityką. Zadbano o to, by w konstytucji została jej przyznana wyjątkowa rola. W ustawie zasadniczej czytamy: „Państwo deklaruje pełną wolność wyznania i religii, jak również uznaje szczególną rolę Prawosławnej Autokefalicznej Apostolskiej Cerkwi Gruzińskiej w historii Gruzji i jej niezawisłości od państwa”.

To bardzo ważna fraza. Nie tylko daje ona Cerkwi władzę, ale także wzmacnia jej autorytet. W tamtym czasie było to bardzo ważne. Na arenie międzynarodowej Gruzję uznawano za państwo upadłe, morale na miejscu też nie były wysokie, system nowych wartości dopiero zaczynał się kształtować. Cerkiew stała na straży modernizacji i demokratyzacji społeczeństwa, odwoływała się do chrześcijańskich europejskich korzeni.

Ale jednocześnie tym zapisem Gruzja odstąpiła od zasady rozdziału państwa od Cerkwi. Później, w 2002 roku, podpisano jeszcze tak zwane porozumienie konstytucyjne, które uregulowało stosunki między Cerkwią a państwem. Co ważne, podpisali je w najważniejszej gruzińskiej świątyni, w Mcchecie, pa-

triarcha Elias II i ówczesny prezydent Eduard Szewardnadze. Ratyfikowano je mimo sprzeciwu ekspertów Parlamentu Europejskiego. W ten sposób między innymi zwolniono Cerkiew z obowiązku płacenia podatku od nieruchomości, rząd zobowiązał się natomiast do zwrotu ziem i dóbr ruchomych skonfiskowanych po 1917 roku i wypłaty odszkodowań za lata represji.

Główną przyczyną podpisania konkordatu była ekonomia. Po rozpadzie ZSRR zaczęła się szalona prywatyzacja wszelkich majątków i dziedzictwa narodowego. Cerkiew także przedstawiła swoje żądania i pretensje dotyczące strat, które poniosła za czasów ZSRR. Na podstawie tego dokumentu zapewniła sobie rekompensatę. Nie można zapominać, że autorytet Cerkwi był i nadal jest bardzo duży – to posunięcie z punktu widzenia interesów polityków było więc ważne.

**Rządy Saakaszwilego
można w uproszczeniu podzielić
na dwa okresy: pierwszy
– demokratyczny i reformatorski
oraz drugi – autorytarny.**

Saakaszwili, który doszedł do władzy po rewolucji róż w 2003 roku, także zawarł sojusz z Cerkwią. Za Saakaszwilego Gruzja zaczęła się zmieniać. Prezydent między innymi zreformował policję, administrację, zaprosił zagranicznych inwestorów. Przez lata jego rządów (2004-2013) Gruzja otrzymała pomoc z Zachodu w wysokości ponad 5,5 miliarda dolarów, a sam kraj obrał zdecydowany kurs na Zachód i także z tego powodu władze musiały podejmować kroki, które nie były zgodne ze stanowiskiem Cerkwi. Zorganizowano na przykład kampanię pod hasłem „Celebруемy gruzińską różnorodność”, a to godziło w poczucie wyjątkowości niechętnej mniejszościom religijnym Cerkwi.

Rządy Saakaszwilego można w uproszczeniu podzielić na dwa okresy: pierwszy – demokratyczny i reformatorski oraz drugi – autorytarny. Saakaszwili w pierwszym etapie swojej prezydentury wydzielał z budżetu państwa na Cerkiew ponad 2 miliony lari [wówczas odpowiadało to kwocie około 3,8 milionów złotych – przyp. red.] rocznie. Oczywiście z politycznego punktu widzenia było to bardzo sprytnie posunięcie, ponieważ zdołał wykorzystać autorytet Cerkwi, a zaufanie społeczeństwa do niej było znacznie większe niż do polityków. Zademonstrował społeczeństwu, że gra z Cerkwią do jednej bramki i tym sposobem wzmocnił swoją pozycję. Kiedy zaś już był wystarczająco silny i jego ugrupowanie polityczne zdobyło wysokie poparcie społeczne, Cerkiew zaczęła mu przeszkadzać.

| W czym?

W propagandzie, którą uprawiał, oraz w zaszczepianiu idei zaczerpniętych z zewnątrz. Chodzi między innymi o popieranie religijnego pluralizmu czy bardziej liberalne podejście do mniejszości etnicznych oraz seksualnych. Ugrupowanie Saakaszwilego zaczęło wypominać Cerkwi państwowe subwencje, to, że jako organizacja niewiele robi dla społeczeństwa. Chciano podkopać jej autorytet i władzę. Ta sytuacja najbardziej wpłynęła na młodych ludzi, dla których ZSRR jest historią, którzy wychowali się w innym systemie, inaczej myślą, mają dostęp do informacji. To ta grupa zaczęła coraz bardziej krytycznie patrzeć na Cerkiew. Oczywiście w oficjalnych uroczystościach cerkiewnych i państwowych zawsze uczestniczyli zarówno prezydent, jak i patriarcha, ale rozłam był coraz bardziej zauważalny.

Wpływ Cerkwi na Gruzinów jest coraz mniejszy. Duchowni są zapraszani na główne uroczystości państwowe, ale ich znaczenie nie jest już tak wielkie jak dawniej.

Po odsunięciu od władzy Saakaszwilego w 2013 roku i przejściu rządów przez Bidzinę Iwaniszwilego, miliardera i założyciela rządzącej do dziś partii Gruzińskie Marzenie, uaktywniły się środowiska konserwatywno-nacjonalistyczne. Tak w Polsce, jak i w Gruzji istnieje stereotyp, zgodnie z którym Polak musi być katolikiem, a Gruzin prawosławnym. Czy łatwo pomylić tożsamość religijną z narodową?

To prawda, że znakomita większość społeczeństwa używa określeń „Gruzin” i „prawosławny” wymiennie. Niemniej jednak, jak zapewne wszędzie, robią to głównie osoby o niższym wykształceniu, bez dostępu do informacji, z reguły starsze. Wiadomo, że na przykład w zachodniej Gruzji, w Adżarii, mieszkają gruzińscy muzułmanie, choć często mówi się im, że historycznie są chrześcijanami, a sytuacja polityczna spowodowała ich przejście na islam. Mimo tego chrześcijanie i muzułmanie funkcjonują tam „hybrydowo”; obrządki – na przykład pogrzebowe – obchodzą wspólnie.

Jednocześnie zachodzi inny proces: grupy konfesyjne się radykalizują, widać wyraźny zwrot ku instytucjom religijnym, zwłaszcza wśród młodych.

Gruzińska Cerkiew Prawosławna jest skostniała i nie stara się modernizować; przejawia się to zwłaszcza w jej stosunku do mniejszości seksualnych czy et-

nicznych, stosowaniu mowy nienawiści przez niektórych duchownych. Na ile mogą na to wpływać sympatia i współpraca z rosyjską Cerkwią, która jawnie sprzeciwia się wszelkim „odstępstwom od normy”?

Cerkiew jest ortodoksyjna, co znaczy, że rzeczywiście pewne elementy są przestarzałe. Uważam, że głosy o wpływie rosyjskiej Cerkwi na gruzińską, które słyszymy w mediach, są przesadzone. Można dojść do takiego wniosku, jeśli ma się dostęp tylko do anglojęzycznych publikacji, gdyż te są bardzo jednostronne.

Oczywiście nie mogę powiedzieć, że Cerkiew jest liberalna – bo nie jest. Muszę jednak zaznaczyć, że nie jest to organizacja monolityczna, choć za taką ją uważamy. Tworzą ją różni ludzie z różnymi poglądami i często radykalne, nacjonalistyczne czy rasistowskie myślenie jednego duchownego utożsamiane jest z całą organizacją. Tymczasem ani Święty Synod, ani patriarcha nie zajmują tak radykalnego stanowiska. Naturalnie Cerkiew nie popiera na przykład związków jedнопłciowych, aborcji czy eutanazji.

Pamiętamy słynny na cały świat pierwszy Marsz Równości, który odbył się w Tbilisi w 2013 roku. Rzeczywiście było tam mnóstwo podburzonych i rozjuszonych ludzi, wielu z nich nosiło sutanny i cerkiewne insygnia, ale ich postawa nie była zgodna z oficjalnym stanowiskiem Cerkwi. Wielu z nich zostało potem odsuniętych od posługi za agresywne i nieakceptowalne zachowania.

Eliasz II może mimo tego przekraczać granicę z Rosją bez wizy, stara się łączyć gruzińsko-rosyjskie konflikty polityczne. Jest jednak zadra – status zbuntowanych republik. W latach dziewięćdziesiątych Gruzja straciła kontrolę nad dwiema prowincjami – tak zwaną Osetią Południową oraz Abchazją, o którą toczyła wojnę. W jej wyniku na teren Gruzji zostało przesiedlonych około dwustu trzydziestu tysięcy Gruzinów. Według prawa międzynarodowego obie te prowincje należą do Gruzji, ale po 2008 roku i rosyjsko-gruzińskiej wojnie pięciodniowej Moskwa uznała ich niezależność. Jak Gruzkańska Cerkiew, która broni integralności terytorialnej kraju, rozwiązuje spór z Rosyjską Cerkwią na tym polu?

Rosyjska Cerkiew rzeczywiście nieformalnie wspiera abchaską eparchię [diecezję – przyp. red.]: pomaga jej finansowo, przysyła swoich duchownych, a także szkoli w moskiewskim seminarium abchaski kler. To dzieje się na poziomie politycznym. Na poziomie kanonicznym eparchie abchaskie i ałańska [południowoosetyjska – przyp. red.] nie zostały uznane

przez rosyjską cerkiew. Eparchowie tych regionów są eparchiami gruzińskimi i cerkiew rosyjska uważa, że stanowią oni część Cerkwi Gruzjińskiej.

A co z ugrupowaniami skrajnie nacjonalistycznymi? Jednym z nich jest Gruzjiński Marsz, który szafuje hasłami jawnie odnoszącymi się do wartości cerkiewnych. Wszystko wskazuje na to, że jest on finansowany przez Rosję.

Nie ma dowodów, że Gruzjiński Marsz jest finansowany przez Rosję, ale rzeczywiście wiele na to wskazuje. Nie ma on jednak – przynajmniej oficjalnie – nic wspólnego z Gruzjińską Cerkwią, choć się pod nią podszywa. Odwołuje się do prawosławnych wartości, wzywa do radykalnego nacjonalizmu i manipuluje, głosząc, że ma z Cerkwią bliskie związki.

Cerkiew nie patrzy przychylnym okiem na działalność zachodnich organizacji pozarządowych. Za rządów Saakszwilego szerokim strumieniem płynęło finansowanie z USA czy z UE. Znacząco przełożyło się to na poziom życia obywateli. Dziś kraj boryka się z potężnym kryzysem politycznym oraz fatalną sytuacją ekonomiczną, która ma związek także z pandemią koronawirusa i zablokowaniem sezonu turystycznego. Dwadzieścia procent obywateli żyje poniżej granicy skrajnego ubóstwa. Wielu Gruzjińców szuka pracy poza krajem, bo oficjalne bezrobocie sięga dziś dziewiętnastu procent, a rzeczywiste jest znacznie wyższe. Cerkiew oficjalnie wzywa do powrotu z emigracji. Dlaczego?

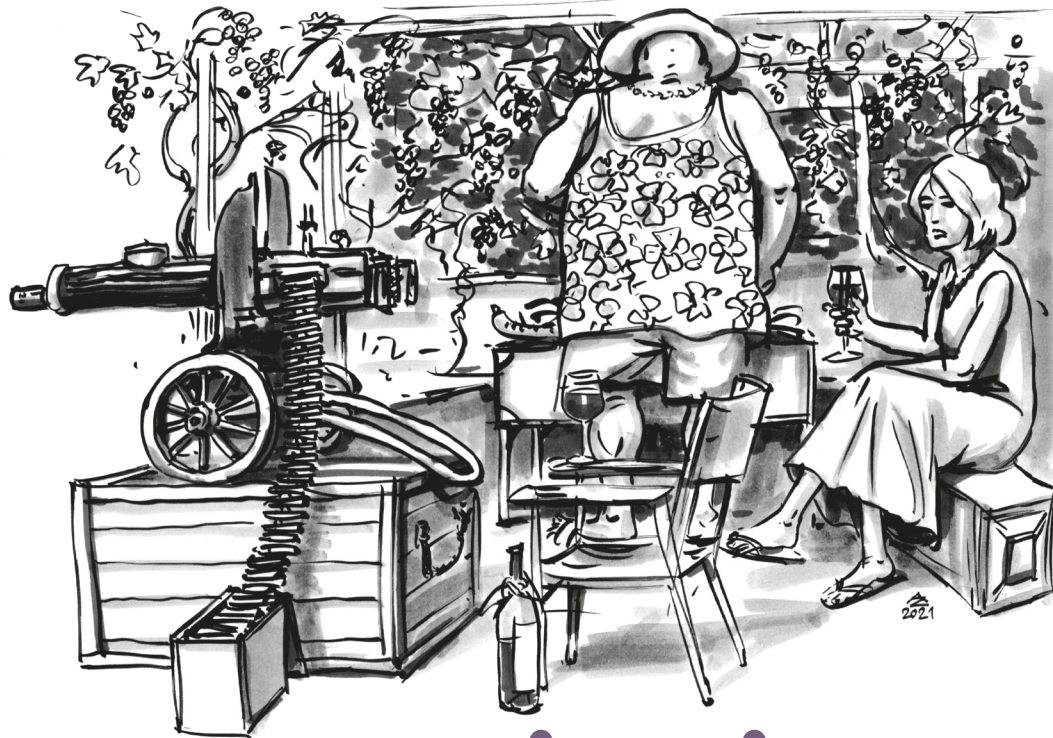
Eliasz II w swoich wypowiedziach rzeczywiście wzywa obywateli, by wrócili do kraju. Jego zdaniem lepiej być w domu i wysiłek, który wkładamy w pracę za granicą, włożyć w nasz kraj, uzdrawiając tutejszą gospodarkę. Emigracja wpływa ponadto na zachowanie ludzi i ich podejście do życia. Wielu „przywozi” inne wartości. Ale podkreślmy: większość problemów Gruzji wynika z braku wykształcenia i informacji, a także z niechęci zdobywania jednego i drugiego.

Cerkiew otrzymuje roczne wsparcie od państwa w wysokości około dziewięciu milionów dolarów. Czy w jakiś sposób pomaga społeczeństwu?

Tak, prowadzi sieć hospicjów, szpitali dla ubogich, istnieją także charytatywne domy samotnej matki i stołówki dla potrzebujących. Uruchomiony został również specjalny program dla osób uzależnionych od narkotyków, ponieważ Gruzja ma w tym zakresie potężny problem.

Odnoszę wrażenie, że religia zaczęła pełnić funkcje integracyjne i mobilizujące społeczeństwo, a co za tym idzie – ma coraz większy wpływ na politykę. Czy za rządów Gruzińskiego Marzenia widać zwiększony wpływ Cerkwi na społeczeństwo?

Moim zdaniem jej wpływ jest coraz mniejszy. Oczywiście nadal duchowni są zapraszani na główne uroczystości państwowe, ale samo ich znaczenie nie jest już tak wielkie. Pamiętajmy jednak, że blisko pięćdziesięcioletni Eliaż II cieszy się wciąż niezwykłym autorytetem: osiemdziesiąt dziewięć procent Gruzinów (według ostatniego sondażu IRI) deklaruje do niego zaufanie, co czyni go najlepiej ocenianą osobą publiczną w kraju.



Ziemia, o której nie da się zapomnieć

Z Markiem Grigorianem,
ormiańskim pisarzem i dziennikarzem,
rozmawia Paweł Pieniążek

Mark Grigorian – dziennikarz i pisarz. Był wieloletni pracownik rosyjskiej sekcji BBC, w latach 2017-2018 kierownik Publicznego Radio Armenii. Obecnie pełni funkcję dyrektora Narodowego Muzeum-Institutu Architektury imienia Aleksandra Tamianiana. Jeden z założycieli Institutu Kaukazu w Erywaniu. W 2002 roku nieznan sprawca rzucił mu granat pod nogi, wskutek czego został ciężko ranny.

Paweł Pieniążek – dziennikarz. Relacjonował wydarzenia między innymi w Afganistanie, Górskim Karabachu, Iraku, Syrii i w Ukrainie.

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Trudno rozpocząć rozmowę o niepodległej Armenii bez wspomnienia o wydarzeniach z 1988 roku. Wówczas w Erywaniu rozpoczęły się protesty, podczas których domagano się, by Górski Karabach wyłączono z Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i włączono do Armenijskiej SRR.

MARK GRIGORIAN: Jeśli mówimy o Górskim Karabachu, zacząłbym od...

Proszę nie cofać się dalej niż do XX wieku.

Zacząłbym od 1965 roku.

Dlaczego?

To był rok, w którym nie tylko obchodzono pięćdziesiątą rocznicę ludobójstwa Ormian – wówczas zaczął kształtować się również ruch dysydencki i krystalizowała się idea odłączenia od Związku Radzieckiego. Działaczy spotkały represje – trafiali do więzień i obozów.

Ormiański ruch dysydencki różnił się od swoich odpowiedników w innych republikach tym, że chciał doprowadzić do niepodległości Armenii przy użyciu legalnych metod wymienionych w radzieckiej konstytucji. To ormiańscy dysydenci sprawili, że ten pomysł się rozwinął i rozprzestrzenił w pozostałych republikach.

| W 1988 roku ów proces nabrał jednak tempa.

Skoro u zarania ZSRR w Moskwie zdecydowano, że Karabach ma trafić do Azerbejdżanu, to protestujący sądzili, że Moskwa może również ten proces odwrócić i oddać region Armenii. Nic takiego się jednak nie stało.

W Azerbejdżanie też istnieje przekonanie, że Górski Karabach jest ormiański, bo przecież nie interesują Azerów takie miejsca jak Stepanakert, a tylko niektóre tereny.

Pod wpływem ruchów w Litwie, Łotwie i Estonii w 1989 roku niepodległości domagali się już nie tylko armeńscy dysydenci, lecz także duże grupy społeczne. Ormianie zaczęli żądać niepodległości. Widziano w niej sposób, by odzyskać Karabach. Nie rozumiałem wówczas, jak miałoby do tego dojść, i nie rozumiem do dzisiaj.

| Ale brał pan udział w tych protestach.

Tak, od pierwszego dnia. Początkowo chodziło tylko o Górski Karabach.

| W książce *Mój Karabach* napisał pan, że przekazanie spornego regionu Armeńskiej SRR jawiło się panu jako przywrócenie historycznej sprawiedliwości i przezwyciężenie dziedzictwa stalinizmu.

To Stalin podjął decyzję o przekazaniu Górskiego Karabachu Azerom – myśleliśmy, że zrobił to, bo nie lubił Ormian.

| W ZSRR wiele krajów musiało pod przymusem zmienić swoje granice. W większości przypadków po latach się z tym pogodzono. Dlaczego tutaj się tak nie stało?

Przez kilka stuleci niepodległa Armenia nie istniała. Choć była podzielona wówczas między różne państwa (najpierw między Turcję i Persję, potem między Rosję i Turcję), pielęgnowano pamięć o niej.

Na początku XX wieku ormiańska myśl polityczna skupiała się na stworzeniu zjednoczonej i niepodzielnej Armenii. Z dwóch składowych chciano uczynić jedno państwo. Ta myśl była znacznie trwalsza niż polityczna rzeczywistość. Przez długi czas Ormianie nie przyjmowali do wiadomości, że część Armenii weszła w skład Związku Radzieckiego, a reszta wciąż znajduje się w Turcji. Zresztą ten podział nadal się utrzymuje – tak jak na początku XX wieku.

Skąd u Ormian bierze się poczucie, że w kwestii karabaskiej nie można zrobić kroku wstecz, pójść na kompromis?

To przekonanie ma podłoże historyczne i nie da się go odrzucić z dnia na dzień. Jest też wielowarstwowe. Na przykład w języku ormiańskim Azerów nazywamy „Turkami”. Gdy mówimy „Turek”, zapominamy, jakie terytorium zamieszkuje: na wschód od nas czy na zachód? Wypowiadając to słowo, na myśl przychodzi również od razu cały zestaw skojarzeń powiązanych z ludobójstwem.

Jakie jeszcze są warstwy tego sentymentu?

W naszej narodowej mitologii i myśleniu jest bardzo ważne, że w jakiejś tam wsi Ormianie pojawili się wcześniej niż „Turcy”. Tak samo myślą Azerowie. Dla przykładu w ich mitologii pojawia się stwierdzenie, że w XIX wieku Azerów było w Erywanii więcej niż Ormian i dlatego twierdzą, że Erywań jest azerbejdżański. Jestem gotowy się zgodzić, że było ich więcej, ale nie z tym, że jest to azerbejdżańskie miasto.

Gdy Armenia uzyskała w 1991 roku niepodległość, nie było jeszcze wojny o Górski Karabach, choć konflikt trwał trzeci rok. Czy można w ogóle opowiadać o historii Armenii po 1991 roku, nie mówiąc o tym regionie?

To absolutnie niemożliwe.

Dlaczego?

Wraz z upływem czasu u wszystkich Ormian pojawiło się przekonanie, że Górski Karabach jest częścią Armenii. Nie ma dla nas znaczenia polityczna rzeczywistość i fakt, że społeczność międzynarodowa uznaje te ziemie za *de iure* terytorium Azerbejdżanu. W Azerbejdżanie pokutuje też przekonanie, że Górski Karabach jest ormiański, bo przecież nie interesują ich takie miejsca jak Stepanakert, a tylko niektóre tereny. Nie możemy mówić więc o poradzieckiej historii Armenii bez Górskiego Karabachu. Jest on jej częścią bez względu na to, gdzie się znajduje w sensie politycznym.

Na poziomie państwowym nie brzmi to tak jednoznacznie. Politycy raz mówią o Górskim Karabachu jako części Armenii, kiedy indziej jako o niepodległym państwie.

Od momentu uzyskania niepodległości cała armeńska polityka opierała się na założeniu, że Karabach to część Armenii, ale władze o tym nie mówią.

Chciałbym, żeby terytoria nie były dla nas ważniejsze niż ludzkie życie, ale jest inaczej.

Erywań inwestował w Karabachu i wysyłane z Armenii środki stanowiły część tamtejszego budżetu. Do dziś mamy wspólną walutę, a systemy polityczne i prawne są zsynchronizowane. Nie mówimy o tym jednak wprost, gdyż opieramy się na fałszywym założeniu, że jeśli będziemy dwoma niepodległymi państwami, to łatwiej będzie przekonać wspólnotę międzynarodową, iż Karabach trzeba oddzielić od Azerbejdżanu.

| Dlaczego uważa pan takie założenie za fałszywe?

Wspólnota międzynarodowa nie daje się przekonać. Skoro po tylu latach nie zabrano Azerom Karabachu, to można wyciągnąć z tego wniosek, że lepiej szukać innych sposobów.

| Jakich?

Na przykład oficjalnie uznać niepodległość Karabachu lub oficjalnie go anektować. Można też zacząć używać innego języka, bo w obecnej sytuacji jesteśmy dzieleni: „ty jesteś armeński, a ty karabaski”.

| Dlaczego Karabach jest tak ważny? Czemu ludzie nie mogą o nim zapomnieć, powiedzieć tamtejszym Ormianom: przyjeżdżajcie do nas, będziemy żyć razem, terytorium nie jest najważniejsze?

Chciałbym, żeby terytoria nie były dla nas ważniejsze niż ludzkie życie, ale tak się złożyło, że ten nacjonalistyczny paradygmat, w którym żyjemy my i Azerbejdżan, stawia tę ziemię u podstaw naszej tożsamości narodowej.

| Co ma pan na myśli?

Ormianin powie, że nie poczuje się do końca Ormianinem dopóki, dopóty Karabach będzie należał do Azerbejdżanu. I Azerowi też będzie czegoś brakowało, jeśli będzie musiał uznać, że Karabach przynależy Armenii. To jest nierozwiązywalna sprzeczność, w której żyjemy od niemal trzydziestu lat i – jak rozumiem – będziemy żyć jeszcze długo.

| A ten paradygmat można zmienić?

Oczywiście powinno się tak stać, ale – mówię to z bólem – nie widzę szans, by mogło do tego dojść w najbliższej przyszłości.

| Problem tkwi w politykach czy w społeczeństwie?

Myślę, że i w tym, i w tym. Politykę tworzą ludzie. Nasze kraje – Armenia i Azerbejdżan – mają jednak swoją specyfikę: jeśli pojawi się wola polityczna, to będzie ona w stanie zmienić stosunek społeczeństwa nawet do tak trudnej kwestii jak konflikt o Górski Karabach.

| Biorąc pod uwagę to wszystko, co pan powiedział, wygląda na to, że ormiańska tożsamość jest zbudowana wokół Karabachu.

Jest kilka ormiańskich tożsamości.

| Jakich?

Jest tożsamość zachodnioormiańska. To Ormianie, którzy żyli na terytorium Imperium Osmańskiego i doświadczyli ludobójstwa. Ten genocyd, a także konieczność jego uznania, dominuje ich tożsamość. Dla nich kwestia Karabachu praktycznie nie istnieje.

Jest też tożsamość Ormian żyjących na Bliskim Wschodzie – w Syrii, Libanie i Jordanii. Na pierwszym miejscu stawiają kwestię przetrwania jako wspólnoty etnicznej i chrześcijańskiej.

Trzecia tożsamość jest wschodnioormiańska, czyli nasza. To w niej Karabach zajmuje centralne miejsce.

| Pisał pan w swojej książce: „Za każdym razem, gdy przyjeżdżam do Karabachu, czuję, że on mną włada. Jednak często bywa tak, że czuję to, nawet jeśli tutaj nie przyjeżdżam”. To brzmi bardziej, jakby pisał pan o idei niż o konkretnym terytorium.

Dla mnie to bardzo osobista sprawa. To dla mnie istotne, że moja babcia i prababcia urodziły się w Hadrucie [miasto zostało zajęte przez azerbejdżańskie wojska w trakcie wojny w 2020 r. – przyp. red.], a ja byłem chrzczony w kościele w Szuszi [także zajęte podczas wojny; po azersku Szusza – przyp. red.], którego dzisiaj już nie ma. To zmusza mnie, by przemyśleć samego siebie i postawić sobie wiele pytań: jak mogłem chrzcić się w miejscu, którego nie ma? Jak mogłem przyjeżdżać do miasta, którego dzisiaj nie ma? Czy na pewno go nie ma? To są bardzo intymne pytania. Moja pamięć o Hadrucie pozostanie we mnie na zawsze. Właśnie to mam na myśli, mówiąc, że mój Karabach istnieje, nawet gdy mnie tam fizycznie nie ma.

W książce wspomina pan też pobyt kilka lat wcześniej we wsi Dadiwank. Miejscowość znajduje się u podnóża klasztoru. Już wówczas jej mieszkańcy obawiali się, co przyniesie przyszłość. Po ostatniej wojnie Dadiwank trafił pod kontrolę Azerbejdżanu.

Widzi pan, to zadziwiające, że miejsca, o których rozmawiamy, znajdują się teraz w jakiejś niezrozumiałej sytuacji. Dla mnie istnieją dziś poza geo-

Za mojego życia nie dojdzie już do wojny, w rezultacie której będę mógł pojechać do Szuszi, Hadrutu czy Dadiwanku. A chcę tam wrócić.

grafia. Być może będzie pan mógł dotrzeć do Baku, a stamtąd do Hadrutu. Ja na pewno nie będę w stanie tego zrobić. Gdzie więc są te miejsca? Na mapie, w moich wspomnieniach czy na fotografiach, które zrobiłem?

Kobieta, u której mieszkałem w Dadiwanku, zmarła jeszcze przed wybuchem wojny.

Jej grób został we wsi. Pamiętam, gdzie się znajduje. A czy tam pojedę? Nie, nie będę mógł się zbliżyć ani do wsi, ani do grobu.

Był pan w po niedawnej wojnie w tej części Górskiego Karabachu, którą wciąż kontrolują Ormianie?

Trzy razy.

I co pan tam zobaczył?

Ludzi próbujących pozbierać kawałki swojego życia i złożyć je na nowo.

Ostry konflikt wpływa na wszystko, co nas otacza, trudno myśleć o czymś innym. To odnosi się nie tylko do jednostek, ale też do całych społeczeństw. Konflikt karabaski ciągnie się od trzech dziesięcioleci. Jakie piętno odcisnął?

Przede wszystkim odcisnął je nie tylko na Armenii, ale też na Azerbejdżanie. Konflikt trzyma w garści nasze umysły i nie pozwala wejść w XXI wiek. To przez niego dopiero co urodzone ormiańskie dziecko staje się demonem dla Azera i analogicznie – azerskie staje się potworem dla Ormianina. Jak w każdym konflikcie dehumanizuje się stronę przeciwną.

Wierzy pan, że da się go zakończyć pokojowymi metodami?

O ile rzeczywiście zostaną otwarte drogi [zakłada to porozumienie o zawieszeniu broni z 9 listopada 2020 roku – przyp. red.].

| To znaczy?

Gdy niedawno wyjeżdżaliśmy ze Stepanakertu do Erywania, natknęliśmy się na wolno sunącą kolumnę ciężarówek wojskowych. Nasz kierowca zaczął je wyprzedzać i wówczas z przeciwległego pasa nadjechały samochody. Musieliśmy zjechać. Kierowca jednej z ciężarówek lekko zwolnił i zrobił nam miejsce. Od razu wjechaliśmy między wojskowe pojazdy. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, że to azerbejdżańska kolumna. Samochody jadące z naprzeciwka przejechały, więc wyjechaliśmy, by dokończyć wyprzedzenie. Nasz kierowca zatrąbił, by podziękować. Tamten odpowiedział klaksonem. To już dialog.

Gdy drogi zostaną otwarte, po którejś z nich będzie jechała azerska rodzina. Dziecku zachce się pić i wpadnie, kierowca będzie zmuszony zatrzymać samochód i poprosi Ormianina, by dał jego dziecku wodę. To też dialog. On zawsze rozpoczyna się i rozwija na drogach i bazarach.

| A czy Ormianie i Azerowie będą się kiedyś mogli na nich ze sobą spotkać?

Chciałbym, żeby tak było, bo nie wierzę, że w trakcie mojego życia dojdzie do wojny, w rezultacie której będę mógł pojechać do Szuszi, Hadrutu czy Dadiwanku. A chcę tam wrócić.



Niewielu stać na taka odwagę

Z Lejlą Alijewą,
azerbejdżańską badaczką i opozycjonistką,
rozmawia Aneta Strzemżalska

Lejla Alijewa – doktor psychologii, współpracowniczka naukową Centrum Studiów Globalnych w Oksfordzie. Zajmuje się kwestiami demokratyzacji krajów po-radzieckich i ich integracją z Unią Europejską, tożsamością religijną i konfliktami.

Aneta Strzemżalska – współpracowniczka naukowa Wydziału Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Europejskiego w Petersburgu. Prowadziła badania terenowe w Rosji i na Kaukazie.

ANETA STRZEMŻALSKA: Jak dobrze pamięta pani rozpad Związku Radzieckiego i kształtowanie się niepodległego Azerbejdżanu? Czy była pani bezpośrednio zaangażowana w ten proces?

LEJLA ALIJEWA: Za główne przemiany polityczne w Azerbejdżanie odpowiadała grupa młodych intelektualistów, ludzi doskonale wykształconych i krytycznie nastawionych wobec sowieckiej władzy. Początkowo należeli oni do niezinstytucjonalizowanych ruchów dysydenckich. Jedni, jak przyszły prezydent Abulfaz Elczibej, siedzieli w więzieniu pod pretekstem podważania porządku konstytucyjnego ZSRR, a inni, na przykład Ajdyn Balajew, pisali artykuły o historii Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej.

Dopiero liberalizacja lat osiemdziesiątych sprawiła, że te autonomiczne ruchy mogły – po pierwsze – zmienić się w zorganizowane struktury, po drugie – zacząć działać jawnie. Ludowy Front Azerbejdżanu, który przeprowadzał rewolucję, został oficjalnie utworzony w 1988 roku, ale oczywiście działał już wcześniej. Niektórych z czołowych liderów rewolucji znałam bardzo dobrze (na przykład niedawno zmarłego Hikmeta Hadżizade, późniejszego wicepremiera i ambasadora Azerbejdżanu w Rosji), ale nie brałam bezpośredniego udziału w niej samej. Studiowałam wówczas w Moskwie i do Baku wróciłam, kiedy rewolucja osiągała punkt kulminacyjny. Działalam we Froncie jako aktywistka, a nie lider.

| Czy ówczesna atmosfera polityczna w Baku bardzo różniła się od moskiewskiej?

Tak, bez dwóch zdań. W Moskwie było bardzo spokojnie. Tam nic jeszcze nie wróżyło nieudanego puczu moskiewskiego, a u nas już trwały milio-
nowe mitingi. Rosyjski politolog Dmitrij Furman napisał, że Elczibejowi udało się to, czego nie dokonało wielu rosyjskich liderów – zjednoczenie olbrzymich mas ludzi pod liberalno-demokratycznymi hasłami. Wiązało się to oczywiście z konfliktem karabaskim, bo wojna z Armenią pomogła zmobilizować również tę część społeczeństwa, która dotychczas była dość pasywna. Przemówienia wygłaszane na Placu Wolności [do rozpadu ZSRR Plac Lenina – przyp. red.] dotyczyły jednak nie tylko konfliktu; mówiono również – a może nawet przede wszystkim – o suwerenności państwowej i wyzwoleniu spod okupacji radzieckiej, o wolności osobistej, prawach człowieka.

| W ostatnich miesiącach miała miejsce kolejna faza konfliktu karabaskiego. Czy można mówić o analogiach między tym, co wydarzyło się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, a tym, co obserwowaliśmy jesienią 2020 roku?

Trzydzieści lat temu ludzie również byli oburzeni dużą liczbą uchodźców, wygnaniem Azerbejdżan z Karabachu i Armenii. W wyniku czystek etnicznych osiemset tysięcy Azerbejdżan było zmuszonych opuścić swoje domy. Ci ludzie nie otrzymali później żadnej rekompensaty za swoje materialne i moralne straty, a sprawców nie spotkała kara. W narodzie, głęboko rozczarowanym Związkiem Radzieckim i komunizmem, nagromadziło się dużo negatywnej energii. Jednak iskrą, która zapoczątkowała wówczas protesty społeczne, były kwestie ekologiczne, a dokładnie wyrąb lasów w Karabachu, w bardzo znanym, objętym ochroną regionie o nazwie Topchana.

W ubiegłym roku spontaniczne demonstracje miały miejsce jedynie w lipcu. W masowym proteście ludzie wyrazili swoje oburzenie wobec tego, że nasze państwo jest okupowane już trzydzieści lat.

| Co było bezpośrednim czynnikiem zapalnym latem 2020 roku?

Była to kumulacja trzydziestoletnich krzywd, traumy i złości. Organizacje międzynarodowe nie podjęły żadnych prób ukarania tych, którzy nas zaatakowali [trzydzieści lat wcześniej – przyp. red.]. Nie nałożono sankcji, wręcz przeciwnie: Armenii udzielano pomocy politycznej i ekonomicznej,

a Ormianie nie mieli poczucia, że zdarzyło się coś niewłaściwego. Pisano oczywiście rezolucje, ale nikt się nimi zbytnio nie przejmował.

Czara goryczy przelała się w lipcu 2020 roku, kiedy Azerbejdżan ponownie został zaatakowany przez Armenię. W wyniku działań zginął cieszący się powszechnym szacunkiem generał Polad Heszimow. Śmierć tego uczciwego człowieka stała się symbolem niesprawiedliwości.

Lipcowe protesty miały charakter nacjonalistyczny. W realiach autorytarnego azerbejdżańskiego reżimu demonstranci wysuwali hasła dotyczące Karabachu, a nie zmian politycznych wewnątrz samego państwa – inaczej niż trzydzieści lat temu, kiedy ruchem rewolucyjnym kierowali demokraci i liberałowie. Ostatniej jesieni opozycja rozumiała, że jej udział w protestach może ściągnąć na nią jeszcze większe represje. Mimo środków ostrożności i uprzedzeń, by na lipcowych zgromadzeniach nie używać haseł politycznych i obywatelskich, wielu aktywistów było prześladowanych. Za kratkami znaleźli się nawet ci członkowie partii opozycyjnych, którzy w ogóle nie wyszli na ulice. Państwo wykorzystało kolejną okazję, aby zaatakować siły demokratyczne.

Czy Alijew bardzo ryzykował, decydując o podjęciu działań zbrojnych we wrześniu 2020 roku?

Nie, wszystko zostało zawczasu uzgodnione z Rosją i z Turcją. Problem Karabachu był dla nas, Azerbejdżan, najważniejszy i powinien być rozwiązany jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Okupacja regionu nie miała prawa trwać aż trzydzieści lat. To była wielka niesprawiedliwość. Ponadto odzyskać Karabach było o wiele prościej i bezpieczniej, niż rozwiązać inne zasadnicze dla nas problemy, takie jak zwalczanie korupcji czy zapewnienie obywatelom wolności.

Właśnie. W ostatnich latach w Europie, w tym w Polsce, o Azerbejdżanie mówi się – poza Karabachem – w kontekście łamania praw człowieka, korupcji i innych nadużyć. Na ile silny jest tam ruch demokratyczny?

Bez dwóch zdań możliwość prowadzenia działalności przez środowiska demokratyczne w Azerbejdżanie jest bardzo ograniczona. Aktywistom stawia się zarzuty oparte na spreparowanych dowodach. Najczęściej jest to posiadanie narkotyków czy handel nimi, ale oskarża się ich też o naruszenie porządku publicznego, nadużycia finansowe, a nawet zdradę państwa.

Kilka lat temu aresztowano grupę młodych ludzi tylko dlatego, że zorganizowali taneczny flash mob na bakijskim bulwarze. Organizatora tego happeningu, Ilkina Rustemzade, skazano na sześć lat pozbawienia wolności. Z kolei za graffiti namalowane na pomniku Hejdara Alijewa młodzi chłopcy Gijas Ibrahimow i Bajram Memmedow dostali odpowiednio dziewięć i dziesięć lat (dzięki naciskom obrońców praw człowieka wypuszczono ich nieco wcześniej). Ochroniarz lidera Frontu Ludowego Azerbejdżanu, Ali Kerimli, przebywał w areszcie osiem miesięcy bez prawa kontaktu z rodziną – nie mógł nawet zadzwonić. Niedawno niewinnie wtrącony do więzienia dziennikarz Afgan Sadygow zapadł w śpiączkę na skutek trwającej osiemdziesiąt dni głodówki, podjętej w ramach protestu przeciwko władzy. Reżim jest niezwykle brutalny. Za niewielkie naruszenia można dostać nieadekwatnie wysoki wyrok. Przemoc i tortury są w więzieniach codziennością.

Dużym utrudnieniem dla opozycji jest też koronawirus i dlatego dziś jej aktywność przeniosła się głównie do sieci. Według statystyk wśród krajów poradzieckich Azerbejdżan zajmuje pierwsze miejsce pod względem liczby niezależnych kanałów informacyjnych, grup internetowych i innych platform komunikacji.

Zwycięska wojna z Armenią przełożyła się na wzrost poparcia dla prezydenta Ilhama Alijewa i najprawdopodobniej zapewni mu ważne miejsce w historii republiki. Jak duży wpływ na kształtowanie opinii społecznej mają w Azerbejdżanie niezależne media i partie opozycyjne w obliczu tak silnej pozycji prezydenta?

Gdy wybuchła wojna, wszystkie partie opozycyjne i środowiska obywatelskie ogłosiły, że na czas walk zaprzestają krytyki rządzących. Po zakończeniu wojny Ludowy Front Azerbejdżanu i Narodowy Sojusz Sił Demokratycznych, a także – chociaż w dużo mniejszym stopniu – Musawat wznowiły swoją wcześniejszą działalność. W odpowiedzi na krytykę prezydent stwierdził, że demokratyczna opozycja sprzedała Karabach w 1992 roku, a „on go zwrócił”. Ta informacja wywołała bardzo silną reakcję ze strony wszystkich sił demokratycznych, w szczególności przedstawicieli pokolenia, które pamięta, że podczas pierwszej wojny karabaskiej wszyscy członkowie Frontu walczyli o Szuszę. Rozprzestrzenianie przez władzę fake newsów jest dowodem na to, jak bardzo boi się ona opozycji.

Alijew przyznał kiedyś, że czeka, aż w kraju nie będzie już opozycji. Tak prezydent widzi naszą przyszłość: idealne społeczeństwo to społec-

czeństwo bez opozycji! Takie podejście nie pomaga w budowie ruchów obywatelskich.

W 2014 roku zakazano działalności organizacji pozarządowych, finansowanych z zagranicznych dotacji. Rozpadł się wówczas nie tylko trzeci sektor, ale poważnie zostało ograniczone też funkcjonowanie partii opozycyjnych. Niektóre z nich w jakiś sposób nadal otrzymywały środki, ale w nie do końca legalny sposób. Również moja organizacja została wtedy pozbawiona możliwości działania, a ja sama musiałam opuścić Azerbejdżan.

Nie zważając na tarcia pomiędzy społeczeństwem a władzą, w obliczu wojny wszystkie środowiska wsparły Alijewa. Wielu przedstawicieli trzeciego sektora pochodzi z terenów do niedawna okupowanych i wszyscy cieszyli się na myśl, że po trzydziestu latach będą mogli powrócić i zobaczyć swoje rodzinne strony.

Górski Karabach jest więc jednym z filarów, na których w Azerbejdżanie opierają się relacje ludzie–władza?

Karabach jest najważniejszy, ale są też inne czynniki. Możemy je ogólnie nazwać niesprawiedliwością społeczną. Pod tym hasłem – oprócz łamania podstawowych praw człowieka – kryją się problemy ekonomiczne, korupcja, przytłaczające rozwarstwienie pomiędzy bogatymi i biednymi. Doskonałym przykładem jest historia skradzionego zegarka o wartości ponad miliona euro. Posiadaczem tak drogiego gadżetu był dwudziestodwuletni syn jednego z azerbejdżańskich urzędników państwowych. Korupcyjne skandale elit nie raz przyćmiewały nawet konflikt karabaski.

Pieniądze stawały się ważniejsze od wojny...

Czasami tak. W Azerbejdżanie – tak jak w każdym innym autorytarnym państwie, chociażby w Rosji – ludzie stają przed dylematem, czy dostosować się do narzucanych przez reżim reguł. W kraju, w którym władza może przekupić większość obywateli, dużo trudniej coś zmienić. Pokusa, by się przystosować, jest większa: zaczynasz ukrywać prawdziwy stosunek do reżimu, wartości i dorabiasz ideologię, którą tłu-

Moja organizacja została wtedy pozbawiona możliwości działania, a ja musiałam opuścić Azerbejdżan.

Dwudziestodwuletniemu synowi miejscowego urzędnika skradziono zegarek o wartości miliona euro. Korupcyjne skandale nie raz przyćmiewały nawet konflikt karabaski.

**W Azerbejdżanie
być opozycjonistą jest
niezwykle trudno:
łądujesz wówczas w więzieniu,
tracisz pracę, biznes. Taki sam
los spotyka twoich bliskich.
Niewielu stać na taką odwagę.**

maczysz swoją konformistyczną postawę, lub po prostu mówisz: „naród nie jest gotowy na demokrację”.

Częściowo to rozumiem. W Azerbejdżanie być opozycjonistą jest niezwykle trudno – łądujesz wówczas w więzieniu, tracisz pracę, biznes. Taki sam los spotyka twoich bliskich. Niewielu stać na taką odwagę.

Partią, która dość dobrze odnajduje się w azerbejdżańskich realiach, jest Alternatywa Republikańska (REAL). Czy myśli pani, że REAL cieszy się dużym poparciem społecznym?

Ta partia rzeczywiście może być popularna wśród konformistów. Jej liderzy wielokrotnie podkreślali, że są przeciwni rewolucji, czyli scenariuszowi, którego najbardziej boi się władza. W odróżnieniu od „starej opozycji” – Ludowego Frontu Azerbejdżanu, Musawatu czy Sojuszu Sił Demokratycznych – REAL zdecydował się na dialog z władzą. Myślę, że działacze Alternatywy Republikańskiej nie odrzucają myśli o technokratycznym autorytaryzmie, a sami chcieliby wysuwać pomysły, które władza wcielałaby w życie.

REAL wiele stracił w oczach ludzi po tym, jak nawiązał dialog z władzą, a jego członek Erkin Gedirli jako jedyny opozycjonista w 2020 roku wszedł do parlamentu. Jeden poseł niewiele może zrobić – głównie poprawia wizerunek azerbejdżańskiego reżimu – ale fakt, że zasiadł w poselskiej ławie, równa się współpracy z władzą.

A czy można zbudować stabilne, silne państwo bez przeprowadzenia dogłębnej reformy obecnego systemu politycznego?

Oczywiście, że nie. Przede wszystkim niezbędne są transparentne, uczciwe wybory. Potrzebujemy władzy, która nie opiera się na korupcji i szarej strefie, lecz godzi się na reguły gospodarki wolnorynkowej. Społeczeństwo obywatelskie jest koniecznym warunkiem poprawy funkcjonowania państwa i należy je chronić, a nie niszczyć. Obecnie nie przeprowadza się reform, po prostu wymienia się kadry, a te rotacje – chociaż mają miejsce na najwyższym szczeblu – niewiele wnoszą.

Jednocześnie jestem pewna, że duża część europejskich polityków wierzy w sukces technokratycznego autorytaryzmu, bo o wiele wygodniej jest

prowadzić interesy z jednym, a nie z wieloma podmiotami. Zachodnim politykom odpowiada ewolucyjny scenariusz politycznej transformacji w Azerbejdżanie.

Wielu azerbejdżańskich intelektualistów, ludzi świetnie wykształconych, łączy radykalizm polityczny z islamem. Czy państwo wyznaniowe rzeczywiście może stanowić alternatywę?

Bazą zarówno Azerbejdżanu, jak i każdego innego współczesnego państwa powinien być sekularyzm. Wizja złamania tej zasady wywołuje strach przed islamem, a tak naprawdę każdym innym ruchem religijnym, który może podważyć fundamenty świeckiego państwa.

Proszę ponadto pamiętać, że w państwie autorytarnym działalność normalnych organizacji religijnych jest ograniczona. Reżim miejscowych liderów religijnych uważa za zagrożenie i wtrąca do więzień. A wiadomo, że ludzie radykalizują się właśnie w więzieniach. Jednocześnie kraj penetrowany jest przez zagraniczne organizacje. Dla Azerbejdżanu od czasów pierwszej republiki [istniała w latach 1918-1920 – przyp. red.] takie zagrożenie stwarza Iran. Z jednej strony Azerbejdżanie boją się irańskiej wersji fundamentalnego islamu, z drugiej wielu podąża za szyickimi liderami z Iranu i stara się żyć według ich rad.

! Nie przeciwstawia pani islamu demokracji?

Myślę, że już w latach dziewięćdziesiątych w Azerbejdżanie można było zauważyć, jak islam inkorporuje wartości demokratyczne. Nasi teolodzy interpretowali wówczas Koran w sposób zgodny z zachodnią demokracją. Na przykład mówiono o tym, że zakrycie głowy nie ma uzasadnienia w Koranie, a zwyczaj ten jest ponadto sprzeczny z naszymi tradycjami.

W demokratycznym Azerbejdżanie islam miałby charakter reformatorski, byłby bardziej elastyczny. Modernizacja islamu jest zakorzeniona w naszej myśli politycznej chociażby dlatego, że w przeszłości Azerbejdżan był ważnym centrum ruchów sufickich. Być może gdybyśmy utrzymali demokratyczny kurs, nasz kraj miałby teraz pozytywny wpływ na inne kraje islamskie.

! Mówimy zatem o demokratycznym islamie – a gdzie tu miejsce na nacjonalizm? To właśnie on napędzał ostatnią wojnę z Armenią.

Nacjonalizm w Azerbejdżanie ma charakter przejściowy. Historia formowania się narodu azerbejdżańskiego pokazała, że jest on otwarty na idee liberalne i dąży do pluralizmu.

Przeoglądając media społecznościowe, zobaczymy, że wojna schodzi na drugi plan, a ludzie są najbardziej zainteresowani relacjami z władzą. Najważniejsza jest dla nich jakość sprawowanych rządów. Ludzie zadają pytania, na przykład: jaką pomoc otrzymują rodziny poległych w wojnie? Jak wygląda ich pochówek? Jak biurokraci odnoszą się do swoich krewnych?

Krytyka władzy wybrzmiewa ze zdwojoną siłą. Dynamika zmian zmierzsa do demokratyzacji, a przez demokrację rozumiem sprawiedliwość społeczną, szacunek wobec obywateli oraz stworzenie im warunków godnych do życia.

Czyli należy oczekiwać demokratyzacji Azerbejdżanu? Społeczeństwo zdoła wymusić zmiany?

W ostatnim czasie bardzo dużo uwagi poświęca się Rosji. Jest to związane z obecnością w Azerbejdżanie tak zwanych „mirotwórców” [sił pokojowych – przyp. red.]. Rosja może mieć bardzo duży wpływ na rozwój wydarzeń w naszym kraju i dlatego też wszyscy dokładnie śledzą losy Aleksieja Nawalnego. Po pierwsze, panuje przekonanie, że demokratyzacja Rosji miałaby bezpośredni wpływ na sytuację w Azerbejdżanie, bo wiadomo, że Putin wspiera wszystkich autorytarnych liderów. Po drugie, Zachód nie dysponuje już tak istotną miękką siłą w stosunku do regionu jak wcześniej. Zresztą, azerbejdżańskie środowiska demokratyczne – nie bezpodstawnie – są przekonane, że Zachód wspiera obecną elitę i interesuje się jedynie ropą. Dużo jest tu oczywiście zmiennych – ceny ropy, stanowisko administracji amerykańskiej czy państw europejskich – ale ja jestem dobrej myśli. Dziś znaczna większość azerbejdżańskich aktywistów znajduje się za granicą. Ale oni wrócą, wrócą już niebawem.



Tak i tak różni podobni

Z Emilem Dżurajewem,
kirgiskim politologiem,
rozmawia Małgorzata Nocuń

Profesor Emil Dżurajew – kirgiski politolog. Komentator stacji radiowej Azattyk (centralnoazjatycka sekcja Radia Swoboda), autor portalu Cabar.asia.

Małgorzata Nocuń – dziennikarka „Tygodnika Powszechnego” i redaktorka „Nowej Europy Wschodniej”. Autorka książki *Wczesne życie oraz* – wraz z Andrzejem Brzezieckim – książek *Białoruś. Kartofle i dzinsy*, *Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi*, *Armenia. Karawana śmierci*.

MAŁGORZATA NOCUN: Będziemy rozmawiać o Azji Centralnej, czyli bardzo dużym terytorium, w którego skład wchodzi pięć państw. W Polsce i szerzej – na Zachodzie – o Azji Centralnej mówi się jako o „regionie”. Czy to duże uproszczenie? Może błąd?

EMIL DŻURAJEW: To wcale nie jest złe podejście badawcze. Region ten składa się z czterech państw, które możemy opisać przy pomocy dostępnych narzędzi analitycznych, to: Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan i Uzbekistan. Jest jeszcze Turkmenistan, który trudno opisać. To kraj zamknięty, brakuje danych, by badać zachodzące tam procesy. Dysponujemy jedynie szczątkowymi informacjami. Dlatego nasza rozmowa w dużej mierze będzie dotyczyć tych czterech bardziej otwartych państw.

Często słyszę, że międzynarodowi analitycy nie posiadają wiedzy i posługują się uproszczeniem, kiedy „wrzucają nas do jednego worka”. Nie zgadzam się z tym. Jesteśmy wręcz zmuszeni do patrzenia na siebie jak na region. Owszem, partnerzy międzynarodowi różnicują Azję Centralną pod względem gospodarczym: Kazachstan i Uzbekistan są w tym kontekście bardziej interesujące; Tadżykistan i Kirgistan w większym stopniu zintegrowały się z Moskwą niż z Zachodem. Nie zmienia to jednak faktu, że na tę część świata właśnie jak na „region” patrzą wielcy gracze – Chiny, Rosja, Stany Zjednoczone i Europa.

Jest jeszcze jeden czynnik, który przemawia za tym, by mówić o Azji Centralnej jako całości: kraje składające się na to terytorium przez dziesięciolecia wiodły ze sobą różne spory. Wciąż są w nich zresztą pogrążone

– to konflikty terytorialne, etniczne, kulturowe. Może łatwiej dyskutować i szukać konsensusu, kiedy patrzy się przez pryzmat regionu właśnie, a nie jego poszczególnych państw?

| Co konkretnie łączy te kraje?

Wszystkie wchodziły w skład jednego imperium, czyli Związku Radzieckiego. I wszystkie uzyskały niepodległość po jego upadku w 1991 roku. To był precedens: na arenie międzynarodowej po raz pierwszy w historii Kirgistan, Tadżykistan, Uzbekistan, Kazachstan oraz Turkmenistan pojawi-

Mówi się, że „gdyby nie ZSRR, bylibyśmy silniejsi”. Ale każdy trzeźwo oceniający musi przyznać, że Związek Radziecki dał nam gotową państwowość.

ły się jako kraje niepodległe. To wiele mówi o instytucjach, procedurach, prawie, kulturze i języku regionu. Łączy nas więc wspólna historia „bycia” przez siedemdziesiąt lat częścią jednego „związkowego” państwa oraz późniejszych narodzin jako niezależne byty.

Wszystkie kraje Azji Centralnej pojawiły się na mapie świata dzięki panującemu w ZSRR systemowi politycznemu. To Lenin zezwolił na tworzenie „republik związkowych”. Często słyszy się głosy, że „gdyby nie Związek Radziecki, bylibyśmy jeszcze więksi, jeszcze silniejsi”. Ale każdy trzeźwo oceniający musi przyznać, że Związek Radziecki dał nam gotową państwowość.

Spaja nas także oryginalna kultura islamu, która po upadku ZSRR przeżywa renesans. W żadnym innym miejscu świata nie występuje podobne zjawisko. Chodzi o obrzędy, rytuały, rolę kobiety, mężczyzny, rodziny. Zupełnie inny islam obserwujemy na Bliskim Wschodzie, w Pakistanie, Afganistanie czy w Malezji.

Mamy też wspólne historyczne doświadczenia. Nasze prastare dzieje mają wspólny rdzeń – wystarczy wspomnieć chanat bucharski istniejący od XVI do XX wieku. Łączą nas też osoby Czyngis-chana czy Tamerlana. Przez dziesięciolecia – czy to pod panowaniem rosyjskim, czy radzieckim – uczestniczyliśmy w tych samych projektach, które dziś nazwalibyśmy „integracyjnymi”. Podobnie jest na poziomie języka – większość narodów centralnoazjatyckich posługuje się językami z grupy turekojęzycznych. Jedynie Tadżykistan jest perskojęzyczny, ale to kraj wieloetniczny, zamieszkały przez bardzo liczną mniejszość uzbecką.

| Ale teraz każdy z tych krajów podkreśla swoją inność, odrębność.

Tak. Ich liderzy starali się stworzyć własne tożsamości narodowe, postawili na budowę niezależnych, niepodległych państw. Każdy chciał pokazać, że jego kraj ma swoją kulturę i historię. I właśnie w tym kontekście społeczeństwa tych pięciu krajów najbardziej nie lubią być rozpatrywane jako region. Tu każde będzie podkreślać swoją wyjątkowość, inność, wskazywać na istnienie „własnej” poezji, literatury, muzyki.

| Jak dziś w Azji Centralnej oceniany jest okres radziecki? Uważa się, że była to kolonizacja, czy zauważane są jakieś korzyści?

Poszczególne kraje mają różną optykę. Co ciekawe, Turkmenistan postanowił zupełnie usunąć ten okres ze swojej historii. Nie ocenia się go w kategoriach „dobry” czy „zły”. Uważa się, że go nie było. Z kolei w Uzbekistanie dominuje krytyczna ocena czasów radzieckich, przede wszystkim w kontekście wyrządzonych przez Moskwę krzywd i nacisku kulturowego. Uważa się, że dominacja rosyjskiej literatury i języka działała na niekorzyść rodzimych tradycji. Podobne podejście, choć mniej krytyczne, obserwujemy w Kazachstanie. W Tadżykistanie ocena jest bardziej zrównoważona. Słysząc również krytykę czasu radzieckiego, ale myśli się o nim raczej pozytywnie. Wspomina się elektryfikację, budowę wodociągów, walkę z analfabetyzmem.

W Moskwie również można usłyszeć głosy na ten temat, ale zgoła odmienne: komentatorzy twierdzą, że kraje Azji Centralnej są Rosji coś „winne”, skoro przez lata tyle od nas „dostały”.

| Jak trzydzieści lat temu w krajach Azji Centralnej przyjęto informację o upadku ZSRR?

Historia ta nie jest dobrze zbadana. Opisując ją, nie opieramy się na rzetelnej analizie socjologicznej.

Oczywiście w każdym z pięciu krajów przyjęto tę informację w różny sposób. W Kirgistanie, Tadżykistanie, Uzbekistanie i Kazachstanie już od końca lat osiemdziesiątych XX wieku aktywne były grupy ludzi, którzy wysuwali postulaty „większej autonomii” w ramach ZSRR. Hasła te podnosili głównie inteligenci; podobnie było w Ukrainie, Białorusi czy

Mieszkańcy Azji Centralnej chcieli „ocalenia” Związku Radzieckiego, ale potem ten i tak się rozpadł – cóż mogli więc poczuć...

na Kaukazie. Działo się to na fali pieriestrojki. Ludzie ci domagali się respektowania praw kulturowych i językowych. Ponadto – przede wszystkim w Uzbekistanie, ale także w Tadżykistanie – wysuwano żądania dotyczące praw religijnych. I te grupy w 1991 roku poczuły satysfakcję z powodu danej nam niepodległości.

W Kirgistanie przygotowany był grunt pod zmiany. Pojawiło się tam wiele ruchów prodemokratycznych, które w 1991 roku przekształciły się w znaczącą siłę polityczną i doprowadziły do przejścia władzy przez

Statystyczny mieszkaniec Kirgistanu, Tadżykistanu, Kazachstanu, Uzbekistanu czy Turkmenistanu nie był gotów do życia w niepodległym kraju.

prezydenta Askara Akajewa. Tego typu demokratyczne siły w innych krajach były słabsze, mniej wpływowe i odnosiły mniejsze sukcesy. W innych państwach Azji Centralnej ostatni komunistyczny przywódca został pierwszym „demokratycznym” prezydentem.

Kirgistan był wyjątkiem. W Tadżykistanie niepodległość doprowadziła z kolei do wybuchu wojny domowej. Tadżycy i Uzbekcy stanęli przeciwko sobie, doszło do rozlewu krwi.

Pod koniec istnienia ZSRR w części republik przeprowadzono referendum. Zadano obywatelom pytanie: „Czy popierasz zachowanie ZSRR jako zreformowanej federacji równoprawnych i suwerenych republik?”. Większość obywateli późniejszej Ukrainy opowiedziała się za niepodległością, mieszkańcy Azji Centralnej chcieli „ocalenia” Związku Radzieckiego, ale potem ten i tak się rozpadł – cóż mogli więc poczuć ...

Statystyczny mieszkaniec Kirgistanu, Tadżykistanu, Kazachstanu, Uzbekistanu czy Turkmenistanu nie był gotów do życia w niepodległym kraju. Ludzie ci musieli zrozumieć, co się w ogóle stało? Jaka zmiana zaszła, co ta niepodległość oznacza? Trzeba było im to wytłumaczyć. Nic dziwnego, że towarzyszyły im uczucia niepokoju, strachu, może nawet lęku. Bali się nieznanego, bali się chaosu, który zresztą nastąpił.

Czy wśród społeczeństw Azji Centralnej odczuwalna jest nostalgia po Związku Radzieckim?

To uczucie było o wiele silniejsze dwadzieścia, może jeszcze dziesięć lat temu. Teraz słabnie. Czasem daje się wyczuć tęsknotę w rozmowach ze starszym pokoleniem. Starsi ludzie pamiętają jedynie dobre aspekty tamtego okresu, wyparli z pamięci te złe.

Owa nostalgia nie ma jednak żadnego wpływu na procesy polityczne. W Kirgistanie w stosunkowo wolnych wyborach – jeszcze w latach dziewięćdziesiątych i na początku dwutysięcznych – komuniści zdobywali wiele głosów. Teraz nie mają szans na wygraną. Ta sama tendencja jest widoczna w Rosji. Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej jest o wiele słabsza niż dekadę temu. Pokolenia się zmieniają. Obywatele, którzy na początku lat dziewięćdziesiątych byli społecznie aktywni, dziś są już często w podeszłym wieku. Obecnie w życiu społecznym i gospodarczym uczestniczą osoby mający około trzydziestu, czterdziestu lat, które nie pamiętają ZSRR.

A jak dziś odbiera się Rosję? Jest to kraj, który kolonizuje Azję Centralną, czy też państwo, z którym możliwa jest partnerska współpraca?

To pytanie częściowo wiąże się z pytaniem o stosunek do radzieckiej przeszłości. Dla nas ZSRR oznacza Rosję.

Współcześnie kraje Azji Centralnej są zależne od Moskwy w różnym stopniu. Żaden nich nie oddalił się od niej zupełnie. Kirgistan i Tadżykistan utrzymują z Rosją najbliższe relacje i są od niej najbardziej zależne, Kazachstan i Uzbekistan są samodzielne w większej mierze. Trudno mówić o Turkmenistanie. W sensie politycznym nie jest on zależny od Moskwy, ale w sensie gospodarczym – tak. Ta bliska relacja oparta jest na przede wszystkim na eksporcie gazu. W Kirgistanie i Tadżykistanie na odbiór Rosji wpływa fakt, że pracuje tam wielu naszych obywateli. Sprawia to, że spora część tych dwóch społeczeństw jest nastawiona prorosyjsko. Kirgistan nie graniczy z Rosją, nie czujemy się więc zagrożeni tamtejszym imperializmem. Wręcz na odwrót – nasi politycy i osoby publiczne podkreślają nawet czasem, że powinniśmy jeszcze bardziej się z Moskwą zbliżyć. W Tadżykistanie jest duża cenzura, trudno, aby jakiegokolwiek poglądy – w tym prorosyjskie – były otwarcie demonstrowane. Wyczuwa się jednak, że ten stosunek pozostaje przychylny. W kirgistańskiej przestrzeni publicznej wybrzmiewa z kolei wiele prorosyjskich opinii.

W Kazachstanie sprawy ocenia się bardziej krytycznie. Nie występuje aż tak duża zależność od rosyjskiego rynku pracy. Sytuacja jest odwrotna – wielu Rosjan pracuje w Kazachstanie. Co pewien czas z ust rosyjskich polityków padają też słowa, że północny Kazachstan to ziemie rosyjskie.

Nic więc dziwnego, że na przykład w Nur-Sułtanie takie wypowiedzi spotykają się z krytyką.

Uzbekistan od wielu lat buduje tożsamość narodową, proces ten zapoczątkował Islom Karimow, pierwszy prezydent niepodległego państwa. Kraj ten jest w dużym stopniu zajęty kwestiami wewnętrznymi. Trudno jest zdefiniować jego stosunek do Rosji. W sferze publicznej Taszkient odnosi się do Moskwy w sposób neutralny.

A czy w Azji Centralnej wspomina się o „wielkiej grze” – czyli walce Wielkiej Brytanii i Rosji o wpływy na tym terytorium?

Odnoszę wrażenie, że nawet w kontekście historycznym mówi się wyłącznie o roli Moskwy. Pojęcie „wielkiej gry” obecne jest przede wszystkim w kręgach akademickich, wśród statystycznych obywateli wiedzy na ten temat brakuje. Być może zna go część społeczeństwa czytająca zachodnią literaturę.

Jakie są najważniejsze wyzwania stojące przed Azją Centralną?

Poziom gospodarki Kazachstanu można porównywać z rosyjskim. Przed Kazachstanem – jak i Turkmenistanem – stoi wyzwanie ustabilizowania rynku produktów naftowych i gazowych. Ich eksport, w szczególności do Chin, jest czynnikiem stabilizującym tamtejsze gospodarki. Kazachstan odczuwa poważne problemy gospodarcze, kiedy cena ropy naftowej spada. Bogactw naturalnych jest tam jednak wystarczająco dużo, by przetrwać obecny kryzys i wrócić na drogę wzrostu gospodarczego. Ryzyko generuje tam jednak nie tylko gospodarka, ale i polityka. Krajem rządzi Kasym Żomart-Tokayew, ale jego poprzednik, Nursułtan Nazarbajew, wciąż żyje i utrzymuje swoje wpływy. To ryzykowne – nie wiadomo, w jakim stopniu były prezydent oddziałuje na politykę obecnego.

Przemysł Kirgistanu i Tadżykistanu nie jest zbyt rozwinięty. W dużo większym stopniu importujemy, niż eksportujemy. Tadżykistan i Kirgistan mają duży dług zewnętrzny w Chinach, którego obsługa jest kosztowna. To jeden z ważniejszych problemów.

W Tadżykistanie ważnym problemem jest sukcesja władzy. Emomali Rahmon, prezydent, który sprawuje urząd od 1994 roku, w ubiegłym roku został „wybrany” ponownie. Rządzi już bardzo długo i pojawia się pytanie, kto nastanie po nim? Wszystko wskazuje na to, że będzie to jego syn. W tym kontekście mogą pojawić się problemy gospodarcze i społeczne.

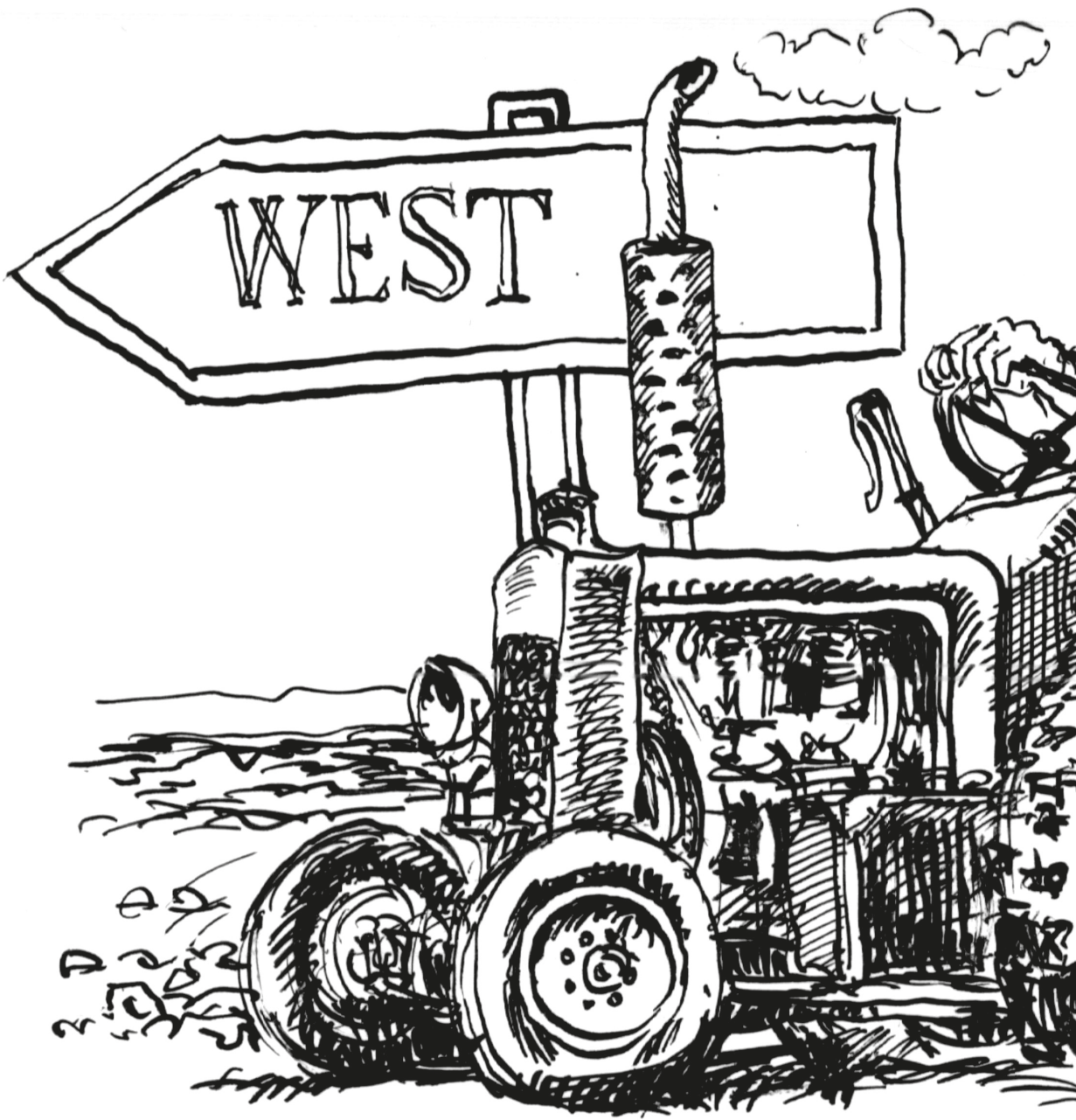
Uzbekistan jest bardzo ciekawym krajem. Ma największy rynek spośród państw regionu. Trzy lata temu Shavkat Mirziyoyev zastąpił na stanowisku prezydenta Isloma Karimova, co sprawiło, że tamtejsza polityka i gospodarka się ożywiły. Kraj, który wcześniej był dość zamknięty, otworzył się.

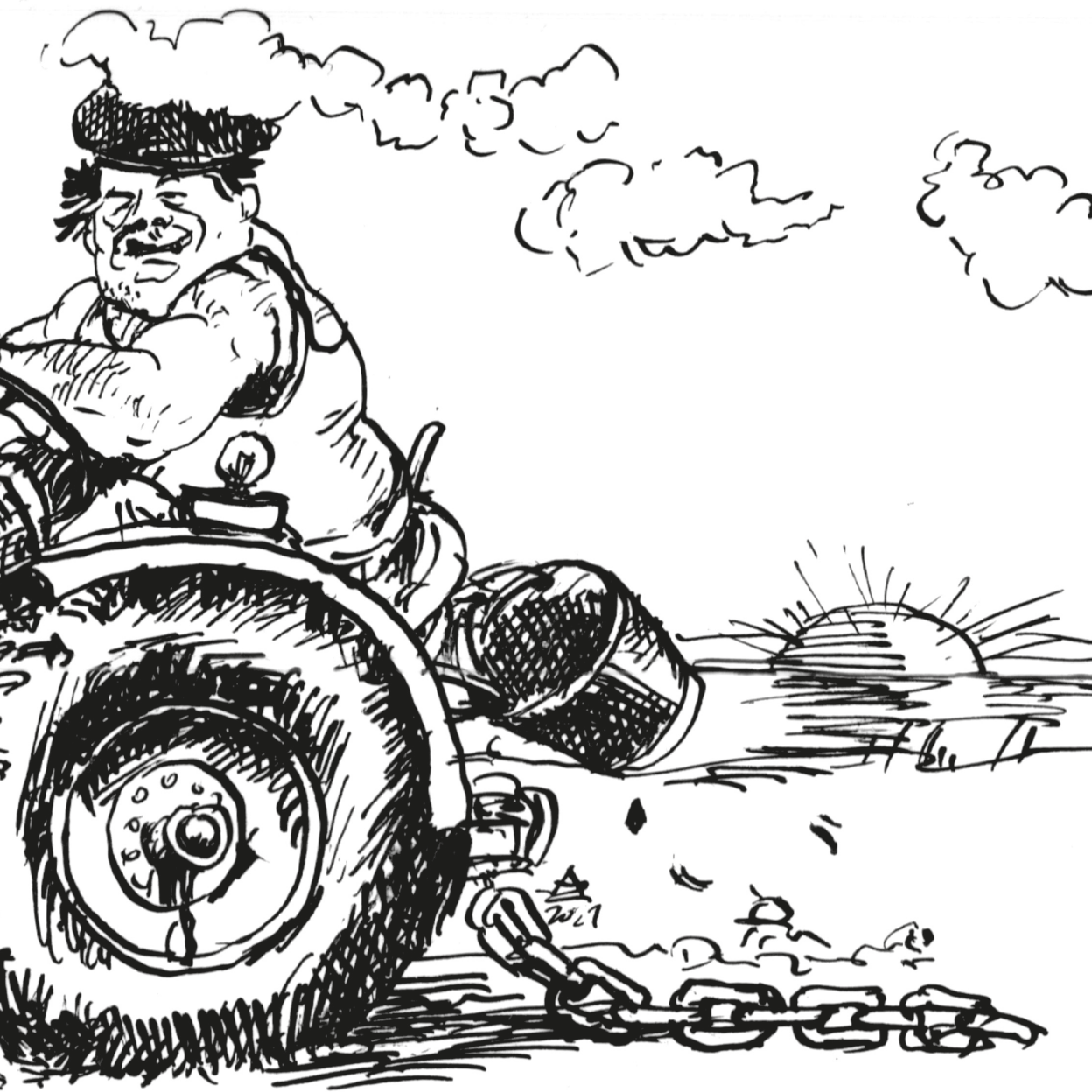
Pozostańmy przy Kirgistanie. Jesienią ubiegłego roku doszło do tam do poważnego kryzysu politycznego.

W Kirgistanie sytuacja polityczna jest wciąż niestabilna. Kiedy w międzynarodowej prasie pojawiły się informacje na temat ostatniej „rewolucji”, czyli zamieszek podczas wyborów parlamentarnych w październiku ubiegłego roku, komentatorzy zawsze skupiali się na jednym aspekcie. Pisano o wojnie klanów, grup przestępczych czy walce Południa z Północą. Zabrakło całościowej panoramy.

A co się wydarzyło?

Kirgizi nie wytrzymali, ponieważ dwie najbardziej skorumpowane i proprezydenckie partie otrzymały największą liczbę miejsc w parlamencie. Ujawniła się też słabość głowy państwa i jej otoczenia. W wyniku protestów prezydent Suronbaj Dżinbekow stracił stanowisko. Ale najciekawsze jest, jak nowy prezydent – lider opozycji Sadyr Dżaparow – doszedł do władzy. Protesty zapoczątkowała młodzież, a obecnemu prezydentowi udało się też zmobilizować ludzi pochodzących z małych miejscowości i ze wsi. Niektórych przyciągała antyzachodnia i antyliberalna retoryka. Kirgistan pozostaje mimo wszystko najbardziej demokratycznym krajem regionu.





Nazwa serii	Europa Środkowa
Redaktorzy serii	Beata Surmacz i Tomasz Stępniewski
Korekta	Anna Pietroń
Projekt okładki i skład	Amadeusz Targoński www.targonski.pl
Ilustracje	© Andrzej Zaręba
Copyright	Instytut Europy Środkowej
ISBN	978-83-66413-46-7
Wydawca	Instytut Europy Środkowej ul. Niecała 5 20-080 Lublin www.ies.lublin.pl
Druk	Drukarnia Akapit www.drukarniaakapit.pl

Sojuz ruszymyj

Związek Sowiecki
30 lat po upadku



Wywiady zostały przeprowadzone przez znanych i cenionych dziennikarzy. Pierwszy wywiad to rozmowa Oleny Babakovej z Ilją Szumanowem, dyrektorem Transparency International Russia i badaczem rosyjskich praktyk korupcyjnych. Kolejne teksty dotyczą sąsiadów Polski z Europy Wschodniej. Z Julią Mostową, redaktorką naczelną ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnja”, rozmawia Piotr Andrusieczko. Ze Swiatłaną Kalinkiną, białoruską dziennikarką i reporterką, wywiad przeprowadza Zbigniew Rokita. Rozmówcą Natalii Morari, mołdawskiej dziennikarki, jest Piotr Oleksy. Kolejne teksty dotyczą problematyki państw bałtyckich. Z Kristiansem Rozenvaldsem, łotewskim politologiem i publicystą, rozmawia Antoni Radczenko, z Neriją Putinaitė, litewską filozofką i politolożką, Dominik Wilczewski. Z Kristiną Kallas, estońską politolożką i historyczką, wywiad przeprowadza Michał Potocki. Kolejny obszar rozważań dotyczy Kaukazu Południowego. Z Ketewan Khutsishvili, profesorką Tbiliskiego Uniwersytetu Państwowego im. Ivane Javakhishvili, dialog podejmuje Stasia Budzisz, z Markiem Grigorianem, ormiańskim pisarzem i dziennikarzem, dyskutuje Paweł Pieniążek. Z Lejlą Alijewą, azerbejdżańską badaczką i opozycjonistką, rozmawia Aneta Strzemżalska. Kończymy rozmowami o sytuacji państw Azji Centralnej. Z Emilem Dżurajewem, kirgiskim politologiem, rozmawia Małgorzata Nocuń.

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie stawia sobie za cel przybliżenie złożonych procesów zachodzących w państwach powstałych po upadku Związku Sowieckiego z perspektywy ich ostatnich lat. Rozmawiamy o trudnej transformacji systemowej, o sukcesach, porażkach i wyzwaniach, z jakimi muszą się zmierzyć nie tylko decydenci polityczni, ale przede wszystkim społeczeństwa państw Europy Wschodniej, Kaukazu, Azji Centralnej i Rosji.

Fragment *Wstępu*